45
9 771898 308011

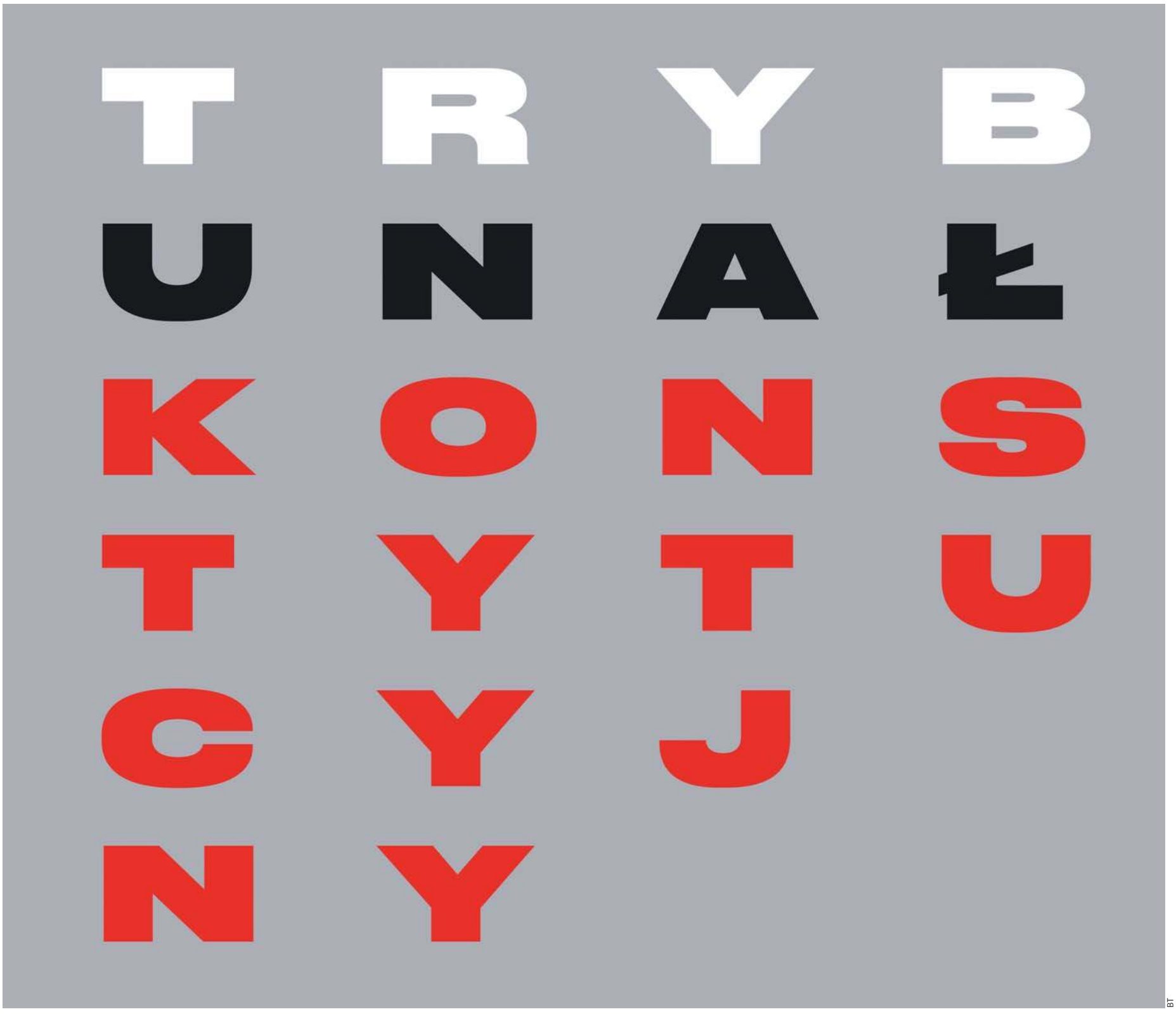
POLSKA
19 lat
METROPOLIA WARSZAWSKA

Poniedziałek, 2.11.2026
Nr 88 (2599)
Cena 6,00 zł (w tym 8% VAT)
Nr ISSN 1898-3081 • Nr indeksu 349-682

MAGAZYN• STR. 3–5

Zaostrza się konflikt o praworządność w Trybunale

Tusk: Jestem pewien, że TK zacznie działać tak, jak powinien. Niezależnie ode mnie, samorządnie i zgodnie z konstytucją



BT

www.i.pl

DZIŚ W NUMERZE
• Sportowy 24: najciekawsze informacje i analizy ze świata sportu
• Pod paragrafem: najstraszniejsze historie kryminalne retro

MAGAZYN • STR. 6

Norman Davies ostro o Trumpie: Showman bez zasad moralnych

MAGAZYN • STR.8–10

Keszka: Oddychamy kulturą gwałtu jak zepsutym powietrzem

MAGAZYN • STR. 11

Z tej polskiej stacji odjeżdżają tylko niemieckie pociągi

eprasa.pl 01d57292a7

POLECAMY

PIĄTEK: Czy ty też dałbyś się zmanipulować ? Dlaczego ludzie wierzą w fałszywe informacje?

2.11.2026
Poniedziałek

Dziś imieniny: : Tobiasza, Bohdana, Małgorzaty
Telefon alarmowy: 112

POLSKA METROPOLIA WARSZAWSKA

Redaktor naczelny
Arlena Sokalska
Z-ca redaktora naczelnego
Agaton Koziński
Redaktorzy
Anita Czupryn
Dorota Kowalska
Mariusz Grabowski

www.i.pl

Polska Press
Makroregion Wschód
Redakcja
ul. Domaniewska 45
02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Prezes Makroregionu
Aureliusz Mikos
Dyrektor reklamy
Witold Trzciński
Biuro reklamy oddziału
tel. 698 635 707
Druk
Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul. Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10
Prezes Zarządu Polska Press Grupy
Robert Feluś
Redaktor naczelny Polska Press Grupy
Marek Twaróg
Projekt graficzny, dyrektor artystyczny PPG
Tomasz Bocheński
Dyrektor kolportażu PPG Tomasz Osoliński
Biuro Konsumenta PPG
biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.i.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

Marek Twaróg,
redaktor naczelny Polska Press Grupy



Sprzątanie po pisowskim kipiszu
z ruskimi agentami w tle razy dziesięć

Po pierwsze, mamy legalnie wybranych sędziów TK.

Po drugie, prezydent RP wbrew interesowi państwa, a wyłącznie w interesie PiS, swojego środowiska – i kompletnie poza swoimi kompetencjami – postanowił pracę sędziów tych zablokować.

Po trzecie, TK musi w normalnym, demokratycznym państwie działać, a nie mógł działać, co od początku było zamysłem PiS. Legalni sędziowie czekali w kącie między kuchnią i łazienką, bo pisowski prezes Święczkowski wiernie wypełniał zadania swojej ulubionej partii.

Po czwarte, państwo jest zobowiązane – w imieniu obywateli, także moim – przywrócić porządek konstytucyjny. Na co czekam od momentu odsunięcia od władzy hochsztaplerów, którzy począwszy od mediów, przez samorządy, po sądy, a skończywszy na Trybunale, demontowali kraj od 2015 roku.

Po piąte, grupa pożytecznych idiotów z mediów zrobi wszystko, by potęgować atmosferę chaosu, choć to tylko kolejny etap sprzątania po kipiszu, który zafundował Polsce rząd PiS. Pisowskie media smażą na tym swoje kotlety, a telewizja Republika już liczy wpłaty, bo taka „wojna" jest w jej biznesowym interesie.

Po szóste, mamy obok wojnę.

Po siódme, demokracja w Polsce jest zagrożona nie tylko z powodu fałszywego przekonania Karola Nawrockiego o swojej wszechwładzy, ale przede wszystkim ze względu na rosnące ruskie wpływy.

Po ósme, Kaczyński właśnie ujawnił, że bierze pod uwagę demontaż Unii Europejskiej i wyjście naszego kraju ze wspólnoty, co jest jawnym działaniem antypaństwowym. I to jest realne zagrożenie.

Po dziewiąte, Nawrocki zaprasza na Radę Bezpieczeństwa Narodowego ruskich agentów od Brauna. I ta słabość do ruskich agentów jest realnym zagrożeniem.

Po dziesiąte, gdybyśmy tylko w ostatnich latach nie odwrócili pojęć i nie dali się ogłupić propagandzie, sytuacja wyglądałaby na bardzo prostą: to walka demokracji z politycznym szarlatańskim i szaleństwem.

AUTOPROMOCJA

Prenumeruj „Polską Metropolię Warszawską"

tel. 12 312 53 88
bok.prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

Janusz Michalczyk
publicysta



Nie przepraszaj, kolego,
że żyjesz

Piłkarz przepraszał ostatnio naród chiński, zaś biskupi - amerykański. Choć właściwie w obu przypadkach nie bardzo mieli za co. Francuski gwiazdor futbolu Kylian Mbappe w telewizyjnym show jako przykład żartu stworzonego przez swoich fanów podał przeróbkę jego twarzy na „chińskiego dyktatora", mając na myśli Mao Zedonga. Krótko potem kilka koncernów chińskich ogłosiło, że zrywa z Mbappe kontrakty reklamowe, a tamtejsza telewizja może zaprzestać transmisji meczów ligi hiszpańskiej. Przekładając to wszystko na konkrety - ciężkie miliony dolarów przestaną płynąć z Chin. Kylian się pokajał: „Darzę naród chiński i jego historię głębokim szacunkiem i jest mi szczerze przykro". Katoliccy biskupi wzięli udział we wspólnej modlitwie z Donaldem Trumpem w jego gabinecie, a kiedy ludzie prezydenta opublikowali filmik i zdjęcia z tego wydarzenia, w stronę duchownych popłynęła fala krytyki. Chodzi o to, że wkrótce odbędą się w USA wybory, więc potraktowano modły jak polityczny gest. Reakcja? Arcybiskup Jeffrey Grob: „Przepraszam za wszelkie szkody, jakie wyrządziłem".

Jeśli trzymać się faktów, Mao Zedong był twarzą okropnego systemu komunistycznego i określenie „dyktator" nie wydaje się przesadne. Oficjalnie mówiło się rzecz jasna o „dyktaturze proletariatu". Z kolei w samej modlitwie z prezydentem teoretycznie nie ma niczego złego, jeśli za kulisami nie robi się z nim jakichś niejawnych interesów. Moim zdaniem, ratujący forsę Mbappe i rejterujący biskup są żałośni, a ich przeprosiny - nieszczere. Tylko pozornie są świadectwem pokory i żalu, a tak naprawdę mają na celu ograniczenie strat finansowych czy wizerunkowych. Przypomina się stara rada: nie przepraszaj, kolego, że żyjesz.

KRÓTKO

Ukraina

Ewakuowani mieszkańcy Ołeszek wjechali do kraju

Mieszkańcy ewakuowani z okupowanego przez Rosję miasta Ołeszki w obwodzie chersońskim wrócili na tereny kontrolowane przez Ukrainę - poinformował w sobotę prezydent Wołodymyr Zełenski. Wraz z ewakuowanymi wróciła ukraińska delegacja, która w Ołeszkach wykonywała misję humanitarną.

„Osoby wymagające ewakuacji zostały wywiezione z miasta i okolicznej hromady (gminy - PAP). Obecnie obywatele Ukrainy z Ołeszek przekroczyli granicę państwową na obszarze obwodu czernihowskiego (sąsiadującego z Białorusią - PAP)" – napisał Zełenski w komunikatorze Telegram. Zapewnił, że wszyscy ewakuowani otrzymają niezbędną pomoc.

Prezydent podkreślił, że ważne jest, by instytucje rządowe oraz władze obwodowe i lokalne sprawnie pomogły ewakuowanym przystosować się do nowych warunków. Zełenski przekazał, że na kierunku chersońskim ustanowiono zawieszenie broni, w czasie którego rozminowano drogi prowadzące do Ołeszek i dostarczono transporty z pomocą humanitarną.

„Liczymy na to, że dostęp humanitarny do Ołeszek zostanie utrzymany" – podkreślił.

Szef państwa podziękował stronie amerykańskiej i osobiście pierwszej damie Stanów Zjednoczonych Melanii Trump za pośrednictwo.

„Jestem dumny z naszych Sił Obrony Ukrainy, które bronią naszego państwa i z honorem zapewniły warunki bezpieczeństwa niezbędne do przeprowadzenia operacji humanitarnej. Dziękuję rzecznikowi praw obywatelskich Ukrainy Dmytrowi Łubincowi i jego zespołowi za realizację misji" – dodał.

Prezydent podziękował także wszystkim dziennikarzom, przywódcom politycznym i społecznym oraz wszystkim ludziom, którym nie jest obojętny los innych i którzy zwracali uwagę świata na sytuację w Ołeszkach oraz prawdziwą katastrofę humanitarną na terytorium Ukrainy okupowanym przez Rosję. Najstarsza osoba, która wyjechała z Ołeszek, ma 94 lata, a najmłodsza – niewiele ponad rok. Udało się uratować również zwierzeta domowe, wśród nich znalazły się psy, koty, papuga, a nawet szop".

PAP

Litwa

Kwiaty i znicze w mauzoleum marszałka

Polscy dyplomaci na Litwie, a także przedstawiciele polskiej społeczności w tym kraju w niedzielę złożyli kwiaty i zapalili znicze w mauzoleum marszałka Józefa Piłsudskiego na Rossie. Uroczystość zakończyła tegoroczną akcję odwiedzania polskich miejsc pamięci narodowej na Litwie.

W tym roku przedstawiciele ambasady RP w Wilnie w ramach trwającej prawie dwa tygodnie akcji odwiedzili 100 miejsc związanych z historią Polski w 60 miejscowościach na Litwie.

PAP

eprasa.pl 01d57292a7

KRYZYS W TRYBUNALE KONSTYTUCYJNYM

Premier: Kompromisu w sprawie TK nie będzie. Prezydent rozmawiał z kolei z liderami ugrupowań parlamentarnych

Kryzys związany z sytuacją w Trybunale Konstytucyjnym nie został zażegnany. W sobotnim orędziu premier Donald Tusk wykluczył kompromis, zaś prezydent Karol Nawrocki odbył serię spotkań z politykami. Pat trwa

oprac. Karolina Wrońska

Sytuacja eskalowała w piątkowy wieczór, kiedy to po południu pojawiła się informacja o zarządzeniu przerwy w czynnościach prezesa Trybunału Konstytucyjnego Bogdana Święczkowskiego i wiceprezesa TK Bartłomieja Sochańskiego, zaś Anna Korwin-Piotrowska, jako mająca najdłuższy staż sędziowski, została ogłoszona osobą kierującą TK.

Wtedy też – w związku z informacją Korwin-Piotrowskiej o możliwości wystąpienia zagrożeń dla życia lub zdrowia sędziów i pracowników TK na terenie, ale nie w samym Trybunale, pojawiła się policja. Zgromadzony przed trybunałem tłum próbował siłowo przedostać się na teren, przecięte zostało zabezpieczenie na furtce w ogrodzeniu. Wówczas na teren przedostał się Bogdan Święczkowski, który zwrócił się przez megafon do próbujących wejść za nim uczestników protestu i zaapelował o spokój oraz wycofanie się z terenu TK. - Nie będziemy się tutaj bili z policją, wrócimy z panem prezydentem. Nie możemy stać się takimi zwierzętami, jak ci ludzie - powiedział, po czym wrócił przed ogrodzenie.



FOT. ADAM JANKOWSKI

W piątkowy wieczór przed Trybunałem Kosntytucyjnym doszło do eskalacji: protestujący próbowali wedrzeć się na teren TK

Prezydent wraca do kraju

Wobec tych zdarzeń prezydent Karol Nawrocki, który był w podróży do Senegalu, przerwał lot, wrócił do kraju i pojawił się w siedzibie TK. Wcześniej odbył konsultacje z I prezesem Sądu Najwyższego Zbigniewem Kapińskim oraz właśnie ze Święczkowskim. Po tych spotkaniach prezydent, wraz m.in. z Kapińskim oraz zastępcą prezesa TK Bartłomiejem Sochańskim wszedł do siedziby TK.

Sędzia Maciej Berek opublikował nagranie, na którym widać, jak prezydent Nawrocki przeciska się między stojącymi w drzwiach budynku osobami; na nagraniu widać wybranych sędziów do TK, m.in. Krystiana Markiewicza.

„Maciej Berek właśnie udokumentował popełnienie przestęp-

NASZ PATRONAT

0111560081

Dobry sąsiad to partner w rozwoju. Dialog z mieszkańcami kluczem do udanych inwestycji

Duże inwestycje infrastrukturalne i energetyczne przynoszą korzyści nie tylko inwestorom, ale również regionom, w których są realizowane. Warunkiem jest jednak otwarta współpraca z mieszkańcami, poznanie ich potrzeb i uwzględnienie lokalnej specyfiki. – Każdą społeczność trzeba traktować indywidualnie, słuchać jej potrzeb i rozumieć, co jest dla niej ważne – podkreślała Anita Cieślicka-Szczepaniak, przedstawicielka ORLENU podczas debaty poświęconej relacjom między inwestorami a społecznościami lokalnymi.



Temu zagadnieniu poświęcono panel „Być dobrym sąsiadem: zarządzanie procesem inwestycyjnym w zgodzie ze społecznościami lokalnymi". Dyskusję moderowała Monika Tenerowicz, zastępczyni dyrektora Departamentu Komunikacji i Marketingu ORLEN Oddziału Centralnego Upstream Polska. Wzięli w niej udział Anita Cieślicka-Szczepaniak, rzeczniczka ds. społeczności lokalnych ORLEN, Artur Kawicki, zastępca dyrektora Departamentu Inwestycji w Polskiej Spółce Gazownictwa, Marcin Pabierowski, prezydent Zielonej Góry oraz Krzysztof Kukucki, prezydent Włocławka.

Dialog trzeba rozpocząć odpowiednio wcześnie

Uczestnicy debaty zgodzili się, że skuteczna współpraca z mieszkańcami nie powinna ograniczać się do formalnych konsultacji prowadzonych na kolejnych etapach procesu inwestycyjnego. Kluczowe jest rozpoczęcie rozmów odpowiednio wcześnie, tak aby możliwe było rozpoznanie lokalnych oczekiwań i uwzględnienie ich podczas planowania przedsięwzięcia. Współpraca powinna trwać przez cały okres eksploatacji, tak by dbać o transparentny dialog i budować trwałe partnerstwa.

– *Każdą społeczność trzeba traktować indywidualnie, słuchać jej potrzeb i analizować, co jest dla niej ważne. Jeśli prowadzimy otwarty dialog, to już na bardzo wczesnym etapie możemy lepiej dostosować inwestycję do specyfiki regionu* – mówiła Anita Cieślicka-Szczepaniak.

Lokalni przedsiębiorcy zyskują na dużych projektach

Korzyści wynikające z inwestycji mogą wykraczać daleko poza teren, na którym powstaje infrastruktura. Duże przedsięwzięcia generują zapotrzebowanie na usługi, specjalistyczne kompetencje i dostawy, tworząc możliwości rozwoju dla lokalnych firm. W ten sposób inwestor może wspierać regionalną gospodarkę nie tylko bezpośrednio, ale również poprzez rozbudowę łańcucha dostaw.

O znaczeniu dużych inwestycji dla rozwoju regionów mówił również Marcin Pabierowski. Przywołał przykład Zielonej Góry, gdzie przez lata realizowano znaczące przedsięwzięcia związane z sektorem naftowo-gazowym. Ich efektem były nie tylko miejsca pracy, lecz także rozwój kompetencji inżynierskich, firm wykonawczych i zaplecza technologicznego, które pozostają ważnymi elementami lokalnej gospodarki.

Prezydent Włocławka Krzysztof Kukucki zwrócił również uwagę na możliwość łączenia rozwoju przemysłu z poszanowaniem lokalnych uwarunkowań i środowiska naturalnego. Wymaga to uwzględniania specyfiki danego miejsca oraz prowadzenia inwestycji w sposób, który pozwala ograniczać ich negatywne oddziaływanie na otoczenie.

Odpowiedzialność inwestora nie kończy się na budowie

Istotnym wątkiem dyskusji było również długofalowe zaangażowanie przedsiębiorstw w życie społeczności, w których prowadzą działalność. Mieszkańcy oczekują bowiem nie tylko nowych inwestycji, lecz także działań odpowiadających na konkretne potrzeby lokalne. Mogą one dotyczyć edukacji, bezpieczeństwa, poprawy efektywności energetycznej budynków czy rozwoju inicjatyw społecznych.

– *Programy grantowe przynoszą długofalową zmianę. Nie chodzi o jednorazowe działania, ale o projekty, które realnie i trwale poprawiają jakość życia mieszkańców* – podkreślała Anita Cieślicka-Szczepaniak.

Przedstawicielka ORLENU wskazała m.in. na inicjatywy wspierające termomodernizację budynków w których świadczone jest wsparcie dla grup szczególnie wrażliwych oraz projekty edukacyjne.

Ważnym elementem budowania relacji z lokalnymi społecznościami jest także bezpieczeństwo. Anita Cieślicka-Szczepaniak przypomniała o programie „ORLEN na Straży". Doposażenie strażaków, rozwijanie ich możliwości operacyjnych, szkolenia i wsparcie psychologiczne przekładają się na sprawniejsze reagowanie w sytuacjach zagrożenia.

– *Często słyszymy od strażaków, że dzięki temu mogli szybciej dotrzeć na miejsce zdarzenia i skuteczniej pomagać mieszkańcom. To pokazuje, że inwestowanie w bezpieczeństwo lokalnych społeczności przynosi konkretne efekty* – podsumowała.

eprasa.pl 01d57292a7

KRYZYS W TRYBUNALE KONSTYTUCYJNYM

stwa, gdy uzurpatorzy próbowali uniemożliwić wejście do Trybunału Konstytucyjnego Prezydentowi RP i naruszyli jego nietykalność" – napisał rzecznik prezydenta Rafał Leśkiewicz na X.

Zdaniem Berka natomiast, prezydent Nawrocki „nie wszedł do budynku Trybunału", lecz „zaatakował fizycznie sędzię Korwin-Piotrowską i pozostałych sędziów TK". Później Berek napisał, że Korwin-Piotrowska „proponowała dziś spotkanie z Prezydentem, w warunkach bezpiecznych i godnych piastunów organów publicznych". „Prezydent wybrał ścieżkę fizycznej konfrontacji z Sędzią TK A. Korwin-Piotrowską" - dodał.

W mediach pojawiło się też kolejne nagranie ze środka budynku Trybunału Konstytucyjnego, gdzie przebywał prezydent Nawrocki oraz m.in. siedmioro osób wybranych przez Sejm tej kadencji na sędziów TK. Na nagraniu z korytarza słychać, jak Anna Korwin-Piotrowska mówi: - Jesteśmy sędziami Trybunału Konstytucyjnego.

- Państwo nie jesteście sędziami TK - odpowiada prezydent Nawrocki, zwracając się do widocznych: Anny Korwin-Piotrowskiej, Krystiana Markiewicza i Macieja Berka. Towarzyszący prezydentowi szef KPRP Zbigniew Bogucki dodał, że „widzi tu tylko jednego sędziego" TK, wskazując na Sławomira Patyrę. - Pani dokonuje zamachu stanu, nie wiem, czy ma pani tego świadomość - powiedział Bogucki do Korwin-Piotrowskiej.

Minister sprawiedliwości, prokurator generalny Waldemar Żurek przekazał potem, że do TK przybył prokurator Andrzej Piaseczny. - Każdy, kto łamie prawo, stanie przed sądem - podkreślił Żurek. Na antenie TVN24 mówił, że zaniepokoiło go zachowanie prezydenta i wyraził nadzieję, że prokuratura podejmie działania. - To niedopuszczalne, by osoba, którą chroni immunitet, wdzierała się, atakowała sędziów - stwierdził

Po wizycie prezydenta w TK prezydencki minister Paweł Szefernaker odczytał przed Trybunałem oświadczenie Karola Nawrockiego.

- Tej nocy doszło do naruszenia porządku konstytucyjnego RP i siłowego przejęcia konstytucyjnego organu państwa - odczytał Szferenaker.

Jak wskazał w oświadczeniu Nawrocki, odbył on konsultacje z pierwszym prezesem SN Zbigniewem Kapińskim, który „również nie uznaje za legalne działań podjętych przez osoby uzurpujące sobie władzę" w Trybunale.

Ok. godz. 5 nad ranem prezydent i szef jego kancelarii Zbigniew Bogucki, a także sędzia Sochański opuścili budynek Trybunału Konstytucyjnego.

Konsultacje prezydenta bez liderów KO

- W związku z zagrożeniem bezpieczeństwa wewnętrznego RP zwołuję na dziś pilne konsultacje z udziałem przedstawicieli sił parlamentarnych w celu doprowadzenia sytuacji politycznej i przywrócenia porządku konstytucyjnego - odczytał w oświadczeniu prezydenta Szefernaker.

Wcześniej premier Donald Tusk oświadczył: „przywracanie rządów prawa jest naszym obowiązkiem". „Po latach pisowskiego bezprawia to proces trudny, czasem bolesny i wymaga zdecydowanego działania. Innej drogi nie ma" - podkreślił szef rządu na X.

Z kolei w Pałacu Prezydenckim odbyła się seria spotkań prezydenta z liderami ugrupowań parlamentarnych. O godz. 13 prezydent przyjął wicepremiera, prezesa PSL Władysława Kosiniaka-Kamysza oraz wicemarszałka Sejmu, przewodniczącego Rady Naczelnej PSL Piotra Zgorzelskiego. W późniejszym wpisie na platformie X Kosiniak-Kamysz podkreślił, że konsekwentnie i od lat proponuje reset konstytucyjny, który „doprowadzi do odbudowy zaufania do TK, zapewni niezależność sędziom, skończy z podważaniem orzeczeń Trybunału i zakończy trwający spór". Jego zdaniem w obecnej sytuacji to jedyna szansa na stopniowe przywracanie normalności wokół TK.

Jako kolejny w Pałacu pojawił się przewodniczący klubu Polska 2050 Szymon Hołownia. Przekazał po spotkaniu, że rozmawiał z prezydentem o możliwych scenariuszach deeskalacji, które wymagałyby współpracy obozów prezydenckiego i rządowego. Wezwał prezydenta i premiera, by usiedli do rozmów.

Ok. godz. 14.30 do Pałacu Prezydenckiego przyjechali prezes PiS Jarosław Kaczyński i szef klubu parlamentarnego tej partii Mariusz Błaszczak. Żaden z nich nie wypowiedział się po spotkaniu.

Z kolei ok. godz. 15 z prezydentem spotkali się przedstawiciele Razem, m.in. współprzewodniczący partii Adrian Zandberg. Po spotkaniu powiedział mediom, że przekazał prezydentowi, iż źle się stało, że wyszedł on z roli arbitra. Zdaniem Zandberga drogą wyjścia jest reset Trybunału Konstytucyjnego i zabezpieczenie tego resetu na poziomie konstytucyjnym. Zaproponował zakończenie kadencji wszystkich obecnych sędziów TK i wybór nowego składu większością konstytucyjną.



FOT. PAP/PAWEŁ SUPERNAK

Wśród protestujących był m.in. Grzegorz Braun

Po godz. 16 spotkanie z prezydentem odbyli lider Rozwoju Plus Mateusz Morawiecki i wicemarszałek Sejmu Marcin Horała. Morawiecki relacjonował po wizycie u prezydenta, że podzielili się z nim koncepcją zgłoszenia konstruktywnego wotum nieufności. O tej propozycji Morawiecki mówił już w sobotę wczesnym popołudniem. Zgodnie z nią premierem zostałby były marszałek Sejmu Marek Jurek, którego rząd techniczny miałby doprowadzić do wyborów w 2027 r. Morawiecki zastrzegł jednocześnie, że kandydatura jest otwarta do dyskusji.

Liderzy Konfederacji Krzysztof Bosak i Sławomir Mentzen, którzy rozmawiali z prezydentem po godz. 17, przekazali po wyjściu z Pałacu, że przedstawili mu „konkretną propozycję resetu" TK. Jak relacjonowali, prezydent odniósł się do niej „z dużą aprobatą".

Z prezydentem nie rozmawiali przedstawiciele Koalicji Obywatelskiej, Lewicy i klubu Centrum. Szef klubu KO Zbigniew Konwiński przekazał, że zaproszenie dostał sms-em ok. godz. 14.40, gdy trwały już spotkania z innymi klubami, a po wskazaniu przedstawicieli KO nie otrzymał odpowiedzi z Kancelarii Prezydenta.

Przewodnicząca klubu Lewicy Anna Maria Żukowska napisała na X, że „nie można przyjąć zaproszenia od kogoś, kto sam jest odpowiedzialny za aktualną sytuację związaną z Trybunałem Konstytucyjnym". Klub Centrum ocenił, że „pożaru nie gasi się z podpalaczem".

Orędzie Donalda Tuska

- Atak na Trybunał Konstytucyjny i jego sędziów to kolejna odsłona procesu niszczenia rządów prawa w Polsce przez PiS i prezydentów Andrzeja Dudę i Karola Nawrockiego - oświadczył w wyemitowanym w sobotni wieczór orędziu premier Donald Tusk. Zaznaczył, że demokratyczne państwo musi być silne i zdolne do egzekwowania sprawiedliwości.

Sposobem na spokój nie może być ustępowanie przed bezprawiem - podkreślił.

- Byliśmy wczoraj świadkami gorszących zdarzeń pod budynkiem Trybunału Konstytucyjnego. Bardzo chciałbym, abyśmy podobnych scen nie musieli nigdy w Polsce oglądać. Sposobem na spokój nie może być jednak ustępowanie przed bezprawiem i przemocą - powiedział szef rządu.

Podkreślił, że „demokratyczne państwo musi być silne i zdolne do egzekwowania sprawiedliwości".

- Od wielu godzin obserwujemy z niepokojem tę sytuację. Trudno nam wszystkim zrozumieć, o co chodzi przepychającym się grupom polityków i aktywistów z PiS-u i Konfederacji, od Brauna po Bąkiewicza - powiedział Donald Tusk. Jak zapewnił, „Policja bardzo spokojnie, ale stanowczo reaguje na wszelkie przejawy agresji".

Premier podkreślił, że „atak na Trybunał i jego sędziów jest kolejną odsłoną procesu niszczenia rządów prawa w Polsce przez PiS" i prezydentów Andrzeja Dudę i Karola Nawrockiego. Tusk przekonywał, że podejmował wspólnie z większością parlamentarną próby naprawienia instytucji.

– Nikt nie miał wątpliwości, że Trybunał w kształcie, jaki narzucił PiS, nie jest prawdziwym sądem – podkreślił. Jak zaznaczył, tak oceniały to instytucje międzynarodowe, polskie autorytety prawnicze i opinia publiczna.

Tusk zaznaczał, że wszystkim siłom politycznym i obu prezydentom proponowano uchwały i ustawy, które umożliwiłyby wspólną odbudowę praworządności, ale „wszystko na nic, wszystko zablokowane przez prezydenta i PiS".

REKLAMA 0011606814



eprasa.pl 01d57292a7

KRYZYS W TRYBUNALE KONSTYTUCYJNYM

Jak mówił, w tej sytuacji czekano na wygaśnięcie kadencji sędziów mianowanych przez PiS. Zwrócił uwagę, że Sejm wybrał nowych sędziów, którzy złożyli ślubowanie, ale prezydent go od nich nie odebrał, a prezes TK Bogdan Święczkowski uniemożliwiał im podjęcie pracy. – Kiedy po wielu tygodniach cierpliwego wyczekiwania postanowili podjąć swoje obowiązki (...), zostali zaatakowani – powiedział Tusk. Dodał, że policja „chroniła Trybunał przed napastnikami".

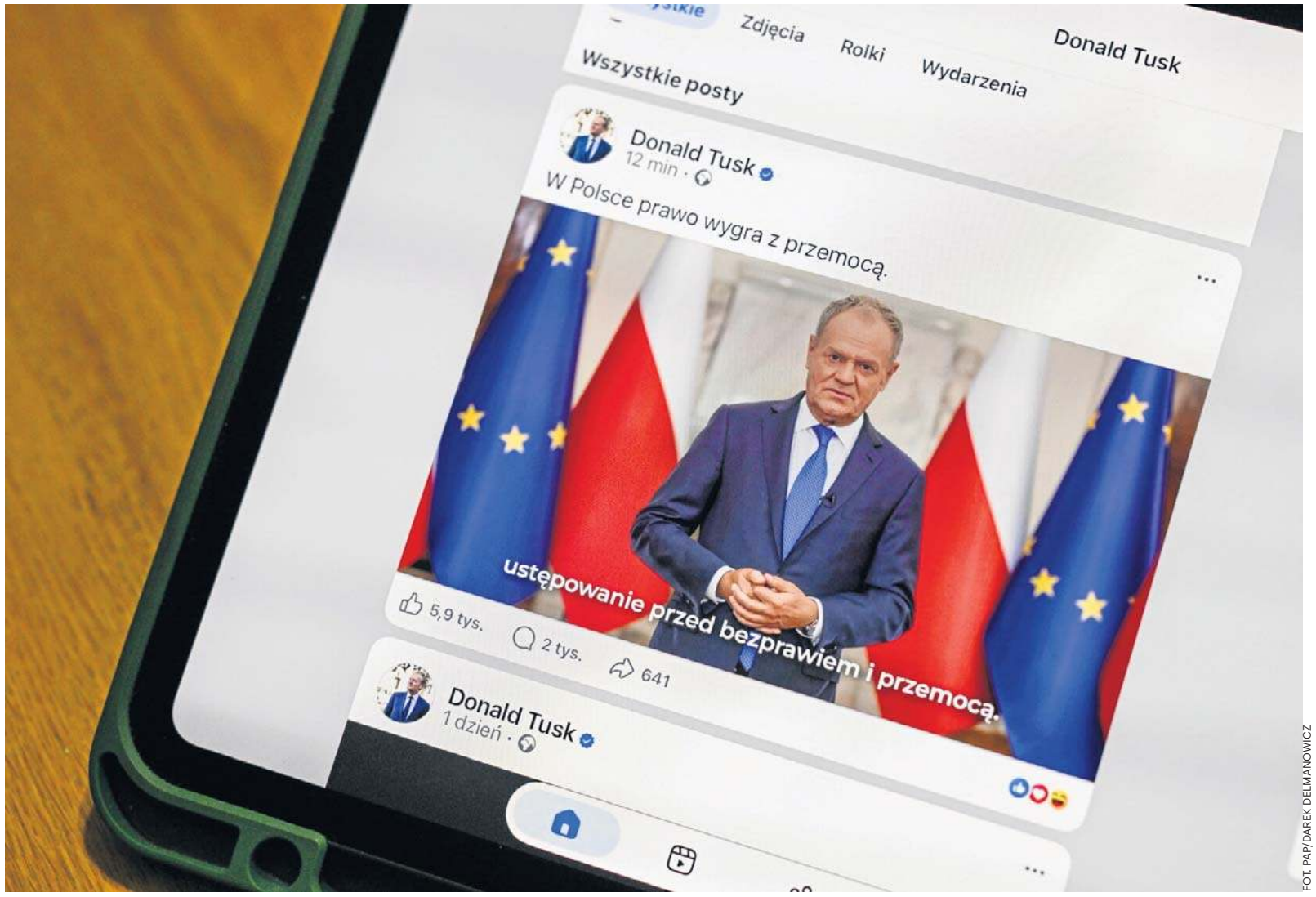
Premier porównał sytuację do złodzieja, który wyrywa starszej kobiecie torebkę, a po zatrzymaniu krzyczy, że stosuje się wobec niego przemoc. – Niektórzy gapie, symetryści, proponują, aby dla załagodzenia sprawy złodziej i ofiara podzielili się po równo zawartością torebki. W pewnych sprawach nie może być kompromisu – podkreślił.

Stwierdził, że „wrzask, kłamstwo i bijatyka nie mogą być źródłem prawa w Polsce i nie będą".

Szef rządu zauważył, że demokratyczne państwo to najlepszy i najtrudniejszy do utrzymania system, jaki wymyśliła ludzkość. Podkreślił jednocześnie, że demokracja jest „naszą tradycją i źródłem głośnego już na cały świat sukcesu; dzięki niej rośniemy w siłę".

Tusk podkreślił, że „państwo prawa tym różni się od prawa dżungli, że o racji nie decydują mięśnie i chamstwo". – W państwie prawa sędzia, choćby była to filigranowa kobieta, nie ustępuje przed agresywnym osiłkiem. Państwo prawa dba o słabych tak samo, jak o silnych – powiedział prezes Rady Ministrów.

– W państwie prawa polityk nie może wchodzić na teren sądu czy trybunału i wydawać poleceń czy zastraszać sędziów, nawet jeśli jest prezydentem. Państwo prawa nie widzi barw partyjnych i nie zna pojęcia bezkarności – podkreślił.



Donald Tusk: Jestem pewien, że TK zacznie działać tak, jak powinien. Niezależnie także ode mnie, samorządnie i zgodnie z konstytucją

FOT. PAP/DAREK DELMANOWICZ

Apelował, by nazywać rzeczy po imieniu. - Od lat istnieją w Polsce organizacje i politycy, którzy demokrację i praworządność chcą zniszczyć – powiedział Tusk, dodając, że nie jest jego zadaniem oceniać, z jakich powodów to robią.

– Czy to jest chciwość, głupota czy zdrada? W końcu efekt jest ten sam i nie przez przypadek znajdują na świecie poparcie wśród sił prorosyjskich, a dzisiaj w tym konflikcie korzystają ze wsparcia armii rosyjskich botów w internecie. Ba, doczekali się nawet publicznych komplementów od głównego ideologa Kremla – powiedział premier.

Tusk podkreślił, że Polacy zbyt długo czekali na „skarb, jakim jest niepodległa, demokratyczna Polska, żeby się przestraszyć i ustąpić". Jego zdaniem, Polakom „zbyt dobrze udało się budowanie silnego państwa, żebyśmy mieli je poddać".



FOT. PAP/PAWEŁ SUPERNAK

Prezydent leciał do Senegalu, ale zawrócił. W nocy postanowił udać się do siedziby TK

- Jestem pewien, że TK zacznie działać tak, jak powinien. Niezależnie także ode mnie, samorządnie i zgodnie z konstytucją - oświadczył premier.

Zaznaczył, że zadaniem władzy wykonawczej, czyli - jak podkreślił - także i jego własnym - jest zapewnienie Trybunałowi bezpieczeństwa i warunków do pracy. - Ze swojego zadania zamierzam się wywiązać. Polska jest silna, demokratyczna i zdeterminowana. Nie zginęła i nie zginie - zapewnił szef rządu.

Co na to Unia Europejska?

Kryzys w Trybunale odbił się szerokim echem w prasie europejskiej i światowej. Ale głos zabrali też przedstawiciele Unii Europejskiej. - Do polskich władz należy zapewnienie, aby Trybunał Konstytucyjny mógł funkcjonować zgodnie z polską konstytucją oraz z poszanowaniem odpowiedniego orzecznictwa Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej - przekazała w sobotni wieczór rzeczniczka Komisji Europejskiej Louise Bogey.

Zapewniła, że Komisja uważnie śledzi ostatnie wydarzenia dotyczące TK. - Powołanie ośmiu nowych członków Trybunału Konstytucyjnego mieści się w konstytucyjnych kompetencjach Sejmu, co potwierdziła Komisja Wenecka w swojej opinii z 13 października 2026 r. - przypomniała rzeczniczka KE w oświadczeniu.

- Ponadto 5 maja 2026 r. Europejski Trybunał Praw Człowieka wydał środki tymczasowe, zobowiązujące właściwe polskie organy do powstrzymania się od utrudniania sędziom – powołanym przez Sejm w marcu 2026 r. – objęcia urzędu oraz wykonywania obowiązków sędziowskich - dodała.

Reakcja I prezesa Sądu Najwyższego

Zbigniew Kapiński , I prezes Sądu Najwyższego zwołał na wtorek, 3 listopada nadzwyczajne Zgromadzenie Ogólne Sędziów SN m.in. w sprawie omówienia zagrożeń dla porządku konstytucyjnego RP W porządku obrad Zgromadzenia przewidziano „omówienie zagrożeń dla porządku konstytucyjnego Polski", w szczególności w zakresie „poszanowania zasady demokratycznego państwa prawnego, niezależności władzy sądowniczej oraz prawidłowego funkcjonowania konstytucyjnych organów państwa, a także podjęcie uchwały w tej sprawie".

Na wtorek, 3 listopada zwołane jest także posiedzenie Zgromadzenia Ogólnego Sędziów TK w celu rozpatrzenia projektu dochodów i wydatków Trybunału Konstytucyjnego na rok 2027. Na ten dzień zaplanowane było również posiedzenie Rady Bezpieczeństwa Narodowego - na razie nie zostało ono odwołane.

eprasa.pl 01d57292a7

„HORYZONTY POKOJU" W GDYNI

Davies o Trumpie: Ameryka w rękach showmana bez zasad moralnych

Światowej sławy historyk Norman Davies nie przebierał w słowach podczas wyjątkowego spotkania w Gdyni. Oskarżył Donalda Trumpa o niszczenie zasad, na których opierał się powojenny porządek świata. Mówił też o wojnie w Ukrainie, imperialnych ambicjach mocarstw i pokoju, który może okazać się jedynie złudzeniem. Publikujemy jego wystąpienie w całości

Opr.: Maciej Sandecki

Z okazji 100-lecia Gdyni w Konsulacie Kultury odbyło się spotkanie pod hasłem „Horizons of Peace" („Horyzonty Pokoju"). Wzięli w nim udział laureat Pokojowej Nagrody Nobla Aleś Bialacki, zdobywca Nagrody Bookera Richard Flanagan, światowej sławy historyk Norman Davies oraz ukraiński pisarz i żołnierz Andrij Lubka. Wystąpienie Daviesa stało się mocną diagnozą współczesnego świata, w którym zasady ustępują sile, a pokój coraz częściej okazuje się jedynie pozorem. Aleś Bialacki, od lat zaangażowany w obronę praw człowieka na Białorusi, mówił o pokoju z perspektywy społeczeństwa żyjącego pod presją autorytarnej władzy. Richard Flanagan, autor nagrodzonych Bookerem „Ścieżek Północy", odwołał się do pamięci ofiar gdyńskiego Grudnia '70, wpisując lokalną historię w szerszą refleksję o wolności, odpowiedzialności i sprzeciwie wobec przemocy. Obecni w Gdyni goście podpisali wspólny list do przyszłych pokoleń, zawierający refleksje na temat pokoju, wolności i odpowiedzialności za świat. Dokument umieszczono w kapsule czasu, która pozostanie zamknięta przez sto lat. List ma zostać odczytany w październiku 2126 roku, podczas obchodów dwusetlecia Gdyni. Tydzień temu przedstawiliśmy wystąpienie Andrija Lubki, ukraińskiego pisarza i żołnierza. Dziś publikujemy przemówienie prof. Normana Daviesa.

Norman Davies: Co tak naprawdę oznacza pokój?

„Żyjemy w świecie pełnym przemocy i chaosu. Ład oparty na zasadach, który przez dziesięciolecia zdawał się umacniać, dziś się załamuje. Wojny toczą się nie tylko w Ukrainie, lecz także w rejonie Zatoki Perskiej, na Morzu Czerwonym, w Strefie Gazy, Sudanie i Etiopii. Widmo wojny pojawia się również w innych częściach świata, choćby w relacjach między Chinami a Tajwanem. Rosja nie jest jedynym państwem, które otwarcie powróciło do zasady, że „rację ma silniejszy". Co najgorsze, Stany Zjednoczone, niegdyś przywódca wolnego, demokratycznego świata, znalazły się w rękach skorumpowanego, autokratycznego showmana, pozbawionego zasad moralnych, który uważa, że należy mu się Pokojowa Nagroda Nobla. Czas zatem zadać sobie pytanie: co tak naprawdę oznacza pokój? Chciałbym przedstawić kilka krótkich refleksji.

Pokój wersalski, czyli pokój, który nie rozwiązał konfliktów

Gdynia świętuje swoje stulecie. Powstała sto lat temu, w latach 20. XX wieku, w następstwie pokoju wersalskiego, który zakończył I wojnę światową. Pokój wersalski jest przykładem pierwszego z wyróżnionych przeze mnie rodzajów pokoju: pokoju rozumianego jako brak otwartego konfliktu. Był to jednak pokój nietrwały. Co prawda działania wojenne ustały, ale wiele konfliktów pozostało nierozwiązanych. W tej części Europy właściwie nikt nie był zadowolony. Polacy uważali, że Gdańsk powinien zostać przyłączony do Polski. Niemcy nie mogli pogodzić się z tym, że ich terytorium zostało podzielone na dwie części. Co więcej, kwestia Rosji nie została należycie rozstrzygnięta. Jak wiemy, w 1939 roku wybuchła kolejna wojna światowa.

Pokój imperialny. Porządek oparty na strachu

Drugi rodzaj pokoju to tak zwany pokój imperialny, którego klasycznym przykładem jest rzymska Pax Romana. Jego fundamentem jest silnie uzbrojona władza, gotowa stłumić przemocą wszelkie niepokoje i próby sprzeciwu. Właśnie dlatego Rzymianie budowali drogi. Nie tylko po to, by wspierać handel, lecz przede wszystkim po to, aby legiony mogły szybko dotrzeć wszędzie tam, gdzie pojawiały się kłopoty. To pokój oparty na strachu. Obawiam się, że Pax Americana po 1945 roku również miała, przynajmniej częściowo, charakter imperialny. Oczywiście Amerykanie nie dominowali wyłącznie za pomocą strachu. Świadczy o tym choćby hojność planu Marshalla. Mieli jednak w ręku „wielki kij". Pamiętam, jak niepokoiła mnie ogromna amerykańska baza lotnicza w Burtonwood pod Manchesterem, gdzie stacjonowały potężne bombowce. Nad jej bramą widniał napis: „Pokój jest naszym zawodem". W bloku sowieckim Pax Sovietica również miała charakter imperialny.

Pokój grobowy. Stworzyli pustynię i nazwali ją pokojem

Trzeci rodzaj pokoju nazwałbym pokojem grobowym. Kiedy człowiek nie żyje, nie może już zakłócać spokoju. To oczywiście skrajne określenie, ale przywodzi na myśl słowa zapisane przez rzymskiego historyka Tacyta, odnoszące się do podboju Brytanii przez legiony: „Solitudinem faciunt, pacem appellant" – „Stworzyli pustynię i nazwali ją pokojem". Można je dosłownie odnieść do losu Kartaginy. Ale także do współczesnego Mariupola.

Sprawiedliwy pokój. Czy taki w ogóle istnieje?

Czwarty rodzaj to „sprawiedliwy pokój". Byłby to szczęśliwy stan rzeczy, w którym wszystkie strony konfliktu są w wystarczającym stopniu usatysfakcjonowane, ponieważ uznają, że ich interesy i obawy zostały uwzględnione.

Jako historyk muszę przyznać, że trudno mi wskazać dobry przykład takiego pokoju. Jeżeli jednak zapytać sztuczną inteligencję, można usłyszeć, że II wojna światowa była „wojną sprawiedliwą".

To niestety dowodzi nieuleczalnej stronniczości sztucznej inteligencji. Ludzie Zachodu często nie potrafią zrozumieć istoty wojny w Europie. Nie była to po prostu walka „dobrych" ze „złymi". Zwłaszcza na froncie wschodnim był to śmiertelny bój dwóch potworów.

Pokój wewnętrzny. Spokój, którego potrzebuje człowiek

Piąty rodzaj pokoju to pokój wewnętrzny, czyli spokój ducha. Wkraczamy tutaj w sferę psychologii. Mówimy o stanie szczęśliwej równowagi, w którym człowiek nie odczuwa stresu, niepokoju ani lęku. Taki stan może pojawić się, kiedy kończy się okres konfliktów i dawni wrogowie zawierają pokój.

Pokój jako porządek publiczny

Szósty rodzaj pokoju odnosi się do relacji zbiorowych. Utożsamia pokój z porządkiem publicznym,



FOT. ARCHIWUM PPG

Prof. Norman Davies

który oznacza znacznie więcej niż sam brak niepokojów. Zakłada istnienie instytucji utrzymujących ład: prawa, sądów, policji, urzędników czy sędziów pokoju. Wymaga również szerokiej akceptacji władzy przez tych, którzy jej podlegają.

Jest przeciwieństwem chaosu, anarchii i społecznych niepokojów. Stanowi cechę dobrze rządzonych społeczeństw.

Jako obywatel brytyjski mógłbym powiedzieć, że mój kraj był niegdyś dumny ze swojego spokoju i ładu społecznego. Dzisiaj jednak w Wielkiej Brytanii toczy się debata, czy ta tradycja dobrego rządzenia nie została przypadkiem utracona.

Pacyfiści i ich wizja pokoju

Nie sposób pominąć pacyfistów, choć istnieje wiele odmian pacyfizmu. Zasadniczo jednak pacyfiści nie tylko odmawiają udziału w walce. Mają również pozytywną wizję pokoju jako stanu harmonii, dobrej woli, życzliwości i współczucia. Ten ideał stoi w wyraźnej sprzeczności z „pokojem negatywnym", rozumianym po prostu jako brak wojny, od którego rozpocząłem swoje rozważania.

Pokój w religii. Błogosławieni, którzy go czynią

Nie można również pominąć religijnego wymiaru pokoju. Jakże często słyszeliśmy słowa Pax vobiscum – „Pokój z wami" – albo o „pokoju Bożym, który przewyższa wszelki rozum". Wszystkie wielkie religie mają wiele do powiedzenia na temat pokoju. Buddyzm koncentruje się na pielęgnowaniu pokoju wewnętrznego. Zarówno Żydzi, jak i muzułmanie posługują się pozdrowieniami odwołującymi się do pokoju: szalom oraz salam alejkum. W chrześcijaństwie kluczowe znaczenie ma Kazanie na Górze: „Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój, albowiem oni będą nazwani synami Bożymi". To niemała nagroda. Choć nie dorównuje obietnicy złożonej ludziom łagodnym: „Albowiem oni na własność posiądą ziemię".

Kto naprawdę zasługuje na miano twórcy pokoju?

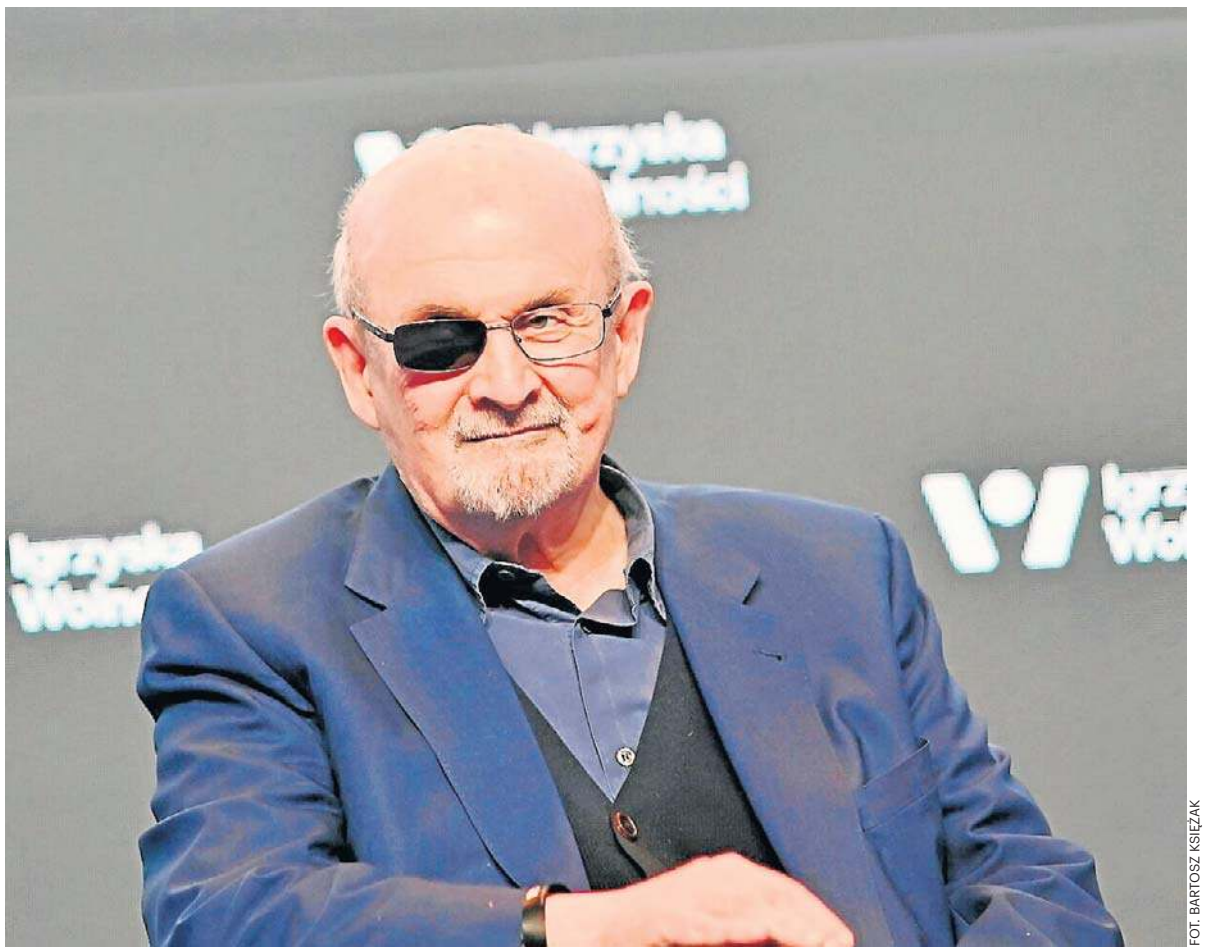
Wracamy zatem do punktu wyjścia. Kim właściwie jest prawdziwy twórca pokoju? Na czym polega pokój na świecie, ten pokój, do którego ludzkość od zawsze, jak dotąd bezskutecznie, dąży? Z pewnością prawdziwym twórcą pokoju nie jest ktoś, kto notorycznie kłamie. Kto dąży do porozumienia wyłącznie po to, by zawierać nieuczciwe układy. Kto miesza retorykę pokoju z upokarzaniem słabszych partnerów i przerażającymi groźbami. „Tej nocy cywilizacja umrze" – usłyszeliśmy niedawno (słowa Donalda Trumpa – red.). To słowa równie barbarzyńskie jak rzymskie zawołanie: „Carthago delenda est" – „Kartagina musi zostać zniszczona".

Pokój może być mirażem. Ale nie wolno przestać do niego dążyć

W rzeczywistości perspektywa pokoju na świecie wydaje się równie odległa jak zawsze. Przypomina wizję „miłującego pokój" komunizmu, która oddalała się w miarę podejmowania kolejnych prób zbliżenia się do niej. Pokój jest ideałem. Być może mirażem, ulotnym złudzeniem. Technologia rozwija się w zawrotnym tempie, lecz natura ludzka pozostaje niezmienna. Stanowi mieszankę dobrej woli i złośliwości, miłości, zazdrości i nienawiści, życzliwości oraz okrucieństwa. Nawet sami filozofowie nie potrafią dojść do porozumienia. Jean-Jacques Rousseau uważał, że natura ludzka jest dobra, choć uległa skażeniu. Z kolei Thomas Hobbes, XVII-wieczny angielski myśliciel, postrzegał ludzkie życie jako samotne, brutalne, podłe i krótkie. A jednak, mimo wszystko, pokój wciąż ma szansę. Wszyscy musimy dążyć do tego, by zapewnić zwycięstwo pokojowi i wolności. Dziękuję".

eprasa.pl 01d57292a7

KULTURA



FOT. BARTOSZ KSIĘŻAK

Salman Rushdie podczas spotkania z publicznością Igrzysk Wolności w Hali Maszyn EC1 w Łodzi

Salman Rushdie: Wszyscy jesteśmy uwięzieni w sieci. Jak muchy. Ale kto jest pająkiem?

Sir Salman Rushdie nieczęsto ostatnio podróżuje, tym bardziej jego wizyta w Łodzi była wydarzeniem. Jeden z największych współczesnych pisarzy przyjechał na 13. Festiwal Idei Igrzyska Wolności, by podkreślić, że jakakolwiek działalność publiczna to przede wszystkim obowiązek

Dariusz Pawłowski

Powinności wobec społeczeństwa i czytelnika, wsparte pryncypialnością i odpowiedzialnością. Również tak samodzielnego i samotnego artysty, jakim jest pisarz. Salman Rushdie odpowiadał na pytania zadawane podczas łódzkiego z nim spotkania ze spokojem, łagodnością i nieudawaną skromnością, ale nie uciekał od nakreślenia postawy autora i aktywisty w słowach, które tak bardzo zdewaluowano. I być może właśnie zaproszenie do refleksji nad najbardziej podstawowymi znaczeniami wielu nieustannie dziś roztrząsanych określeń było najważniejszą, zabraną do domu konsekwencją wizyty cenionego twórcy na Igrzyskach Wolności. Oby nie porzucaną zaraz za progiem bezpiecznego azylu...

Spotkanie z pisarzem i eseistą, pod hasłem „Prawda, wolność słowa i rola literatury w zmieniającym się świecie", poprowadził Michał Nogaś. By dostać się na wydarzenie, trzeba było przejść przez szereg zabezpieczeń, w tym kontrolę z użyciem bramek i ręcznych wykrywaczy metalu. Butelki z napojami należało zostawić przed wejściem, bagaże oddać do depozytu. Ze względów bezpieczeństwa nie było też zwyczajowych zdjęć z autorem oraz podpisywania książek.

Ale wystarczyły charyzma Salmana Rushdiego i jego niestrudzona konsekwencja w głoszeniu zdecydowanych opinii. – Żyjemy w epoce kłamstw. W czasach internetu jest ich tak wiele, cały świat może czytać je w tym samym czasie i rozprzestrzeniają się one tak szybko, że niemal zagłuszają prawdę. Teraz wszyscy jesteśmy uwięzieni w sieci. Jesteśmy jak muchy. Kto jest pająkiem? To jest pytanie. Atak na prawdę sprawia, że bardzo ważne jest, abyśmy próbowali utrzymać się przy tym, czym ona jest. Prawda jest tym, co jest, nie tym, co nie jest. A obowiązkiem pisarza jest pisanie prawdy. O rzeczywistości, o człowieku, o jego relacjach i postawach. Musimy prawdę chronić, próbować podnieść ją ponad rosnącą falę nieprawdy. Czy to się uda, czy nie, to już inna sprawa – mówił do festiwalowej publiczności.

Salman Rushdie wspominał swoje spotkania z Czesławem Miłoszem, przyjaźń z Adamem Zagajewskim i braterstwo z Paulem Austerem. – W Polsce po Warszawie oprowadzał mnie Ryszard Kapuściński, a po Krakowie Adam Zagajewski, trudno o lepszych przewodników. Jest mi bardzo smutno, że żadnego z nich już z nami nie ma – wyznał mieszkający w Nowym Jorku artysta. – Czesława Miłosza poznałem, gdy przyszedł na mój wykład w Berkeley. Był wtedy ze swoją żoną. Jednak ledwie zacząłem mówić, on wstał i wyszedł. Poczułem się skonfundowany. Później okazało się, że nie zadziałał jego aparat słuchowy. Ale publiczność zobaczyła, że noblista opuszcza mój wykład – dodał Rushdie z uśmiechem. I zapewnił, że ceni także poezję Zbigniewa Herberta i Wisławy Szymborskiej. – Myślę, że polska poezja dała światu wielki dar w ostatnich czasach i z pewnością była dla mnie ważna – podsumował.

Przed spotkaniem na Igrzyskach Wolności, Rushdie odwiedził Szkołę Filmową w Łodzi. A to dlatego, że jest wielbicielem kinematografii, w młodości duże wrażenie wywarły na nim filmy Andrzeja Wajdy – między innymi „Popiół i diament", a także „Rękopis znaleziony w Saragossie" Wojciecha Hasa oraz produkcje Krzysztofa Kieślowskiego i Krzysztofa Zanussiego.

Salman Rushdie sporo mówił o kłopocie, jaki sprawiają politykom pisarze. – Polityk zajmuje się kłamstwem, pisarzowi tego nie wolno. Tacy pisarze zawsze przeszkadzali władcom i politykom. Oktawian August wygnał Owidiusza, ale poezja Owidiusza przetrwała. Lorca został zamordowany przez zwolenników generała Franco, ale jego twórczość przetrwała. Pisarze i poeci są pierwszymi osobami, którym zamyka się usta, bo są dla władców niebezpieczni – zaznaczył.

Przekonując, że literatura się obroni, zwrócił jednak uwagę na sytuację pisarzy. – Sztuka i literatura są bardzo silne, są w stanie oprzeć się opresji, ale pisarze nie są aż tak silni, jak ich dzieła. Są bardzo delikatni. Dlatego trzeba chronić pisarzy – zaapelował.

Mówił przy tym o szczególnej relacji pomiędzy pisarzem a czytelnikiem. – Jedynym powodem pisania książek jest spotkanie z czytelnikiem. To bardzo intymne spotkanie i wcale nie ma pewności, że ono nastąpi. Jeśli jednak tak się stanie, to jest to cud – zapewnił.

Literat przyznał, że pierwszą magiczną książką w jego życiu była „Alicja w Krainie Czarów" Lewisa Carrola, do której wracał wielokrotnie. – Tam jest zawarta wspaniała metafora o tym, że aby dostać się do magicznego świata i przejść przez maleńkie drzwi do ogrodu, trzeba zmniejszyć swoje rozmiary. Bo właśnie magię w życiu trudno dostrzec, ale gdy się już w nią zagłębimy, to roztoczy ona przed nami wspaniały świat – zaznaczył.

Później były kolejne ważne dla pisarza tytuły, między innymi „Ulisses" Jamesa Joyce'a. A jako przykład książki, która może zmienić życie człowieka i całych społeczeństw, podał „Chatę wuja Toma" Harriet Beecher Stowe z połowy XIX wieku, ponieważ spowodowała ona zmianę podejścia do niewolnictwa. Pisarz przywołał też „Odyseję", jako dzieło Homera, bo film... – Darujcie sobie film Nolana, zaoszczędzicie w ten sposób trzy i pół godziny swojego życia – podsumował krótko.

Autor „Szatańskich wersetów" wytłumaczył też publiczności i prowadzącemu, czym jest wolność słowa. – Walka o wolność słowa zaczyna się w momencie, gdy domagamy się, by dopuszczalne były również zdania dla nas nieprzyjemne, niezgodne z naszym punktem widzenia. To nie musi być miłe. Ale wtedy i my możemy się odszczeknąć, prezentując nasze stanowisko. Reżim zawsze chce kontrolować i narzucać narracje, ale nie wolno się na to godzić. Trzeba mówić to, co uważamy za słuszne. Ale jeśli cenimy wolność słowa, musimy przyznać, że tym, z którymi się nie zgadzamy, też na tym zależy. Najlepszą obroną przed złymi słowami czy opiniami, których nie akceptujemy, jest pokazanie tego, obrona własnych ideałów, własnej prawdy. To nie zawsze jest grzeczne – powiedział Salman Rushdie.

Gdy pisarza zapytano, jak w tym kontekście traktować słowa polityków, na przykład Steve'a Witkoffa, który powiedział o Władimirze Putinie, że jest humanitarny, Rushdie odparł krótko. – Jeśli Witkoff mówi coś idiotycznego, to ja mogę powiedzieć mu, że jest idiotą i to jest moja wolność słowa. Demokracja wymaga niezgody, wymaga sporu i musimy tego chronić. Nawet jeśli oznacza to tolerowanie ludzi, którzy niekoniecznie będą nas tolerować.

Salman Rushdie zaznaczył przy tym, że nie ma zamiaru narzucać innym, w tym literatom, jedynego słusznego sposobu postępowania. – Są pisarze, którzy zachowują prywatność, koncentrują się na swojej twórczości, chcą zajmować się tylko i wyłącznie swoją pracą. Nie chcą podejmować publicznych tematów, bo to nie leży w ich naturze. I to też jest w porządku. Ale są także tacy, którzy są wystarczająco głupi, żeby wypowiadać się w kwestiach publicznych. No i wtedy wpada się w kłopoty – roześmiał się.

Odnosząc się do pamiętnych wydarzeń z sierpnia 2022 roku, kiedy to w Chautauqua Institution w stanie Nowy Jork, podczas przygotowań do wygłoszenia wykładu, został zaatakowany przez nożownika i wielokrotnie dźgnięty w twarz oraz szyję, w wyniku czego stracił oko, Salman Rushdie stwierdził: – Te wydarzenia nie zmieniły mnie, mojej osobowości ani sposobu pisania, ale ze mną zostały. Są jak cień w rogu pokoju. Dodały mi jednak kawałek życia. Po tym wszystkim uznałem, że jedyne, co mogę uczynić, to nadal pisać to, co uważam za słuszne, mówić to, co uważam za ważne, poświęcać czas swoim bliskim i przyjaciołom, robić swoje. Po prostu.

Wielki pisarz, bogata osobowość i autentyczność. Na festiwalowym stoisku można było znaleźć jego książki, chętnie kupowane przez publiczność. Myśl Salmana Rushiego została podjęta. Doskonale zatem, że to spotkanie odbyło się w Łodzi.

eprasa.pl 01d57292a7

WYWIAD

Joanna Keszka: Oddychamy kulturą gwałtu jak zepsutym powietrzem

Miała uczyć, jak urozmaicać seks. Zamiast tego słucha historii przemocy. Czy piła? Jak była ubrana? Wyszła sama? Dlaczego skrzywdzone kobiety muszą tłumaczyć się z własnego zachowania, a gwałciciele znajdują obrońców? O kulturze gwałtu mówi Joanna Keszka, autorka książki „Grzeczna to już byłam", trenerka kobiecej seksualności

Anita Czupryn



FOT. 123RF

Joanna Keszka: Kobiety wstydzą się, że zostały skrzywdzone. Gwałt w Polsce piętnuje ofiarę, a nie sprawcę

Studentka prestiżowego Uniwersytetu Cornella w Ithace, w stanie Nowy Jork, zgłosiła, że została odurzona i zgwałcona przez członków bractwa Chi Phi. Co panią najbardziej wstrząsnęło w tej historii?

Jest w niej wiele elementów jakby wyjętych z horroru. Pierwsza rzecz: została zgwałcona przez swoich kolegów. To były osoby, które znała. Druga: na czacie było pięćdziesięciu siedmiu studentów elitarnego uniwersytetu. Pięćdziesięciu siedmiu! I kiedy nawoływali, że jest „darmowa cipka", żaden z tych chłopców, z tych mężczyzn, nie zrobił nic, żeby jej pomóc.

Dla nich to była okazja, a nie powód, żeby pomóc.

Dla mnie to przykład toksycznej męskiej sztamy opartej na dehumanizowaniu kobiet.

Zwykle wyobrażamy sobie gwałciciela jako człowieka z marginesu. A tu młodzi mężczyźni, prestiżowa uczelnia, wykształcenie, dobra opinia, obiecująca przyszłość.

I to wszystko zostało wzięte pod uwagę przez uczelnię. Dochodzimy do trzeciego elementu: kiedy ona zgłasza władzom gwałt zbiorowy, dwóch studentów zostaje usuniętych z uniwersytetu. Tylko usuniętych. Żaden nie został pociągnięty do odpowiedzialności karnej, a pozostali mają napisać słynny esej. Esej ma być karą za gwałt, według władz uniwersytetu. To gotowy scenariusz horroru. Tyle że to wydarzyło się naprawdę, na prestiżowym uniwersytecie, wśród młodych mężczyzn, którzy kształcą się, żeby być elitą.

Dlaczego martwimy się, że młodemu mężczyźnie można zniszczyć życie? A co z życiem kobiety, która zgłasza przemoc?

Ta historia odbiła się w Stanach ogromnym echem. Niestety, mam wrażenie, że w Polsce mówi się o niej za mało. A to modelowy wręcz przykład kultury gwałtu, w której żyjemy wszyscy. Uważam, że oddychamy kulturą gwałtu jak zepsutym powietrzem. Po prostu. Oddychamy. Każda dziewczyna i kobieta zna to na pamięć. Zarówno w Stanach, jak i w Polsce.

Na czym polega kultura gwałtu?

Na szukaniu usprawiedliwień dla sprawcy. To taki naturalny tok myślenia: to byli bardzo porządni chłopcy, pociągnięcie ich do odpowiedzialności może im złamać karierę; to był fajny kolega, więc nie można tego zgłosić. A jednocześnie obwinia się i rozlicza kobietę, która została skrzywdzona. To ją się pyta, czy piła, jak była ubrana, dlaczego tam poszła, skoro było późno. Czy się broniła. Kultura gwałtu to właśnie przekierowanie uwagi. Tłumaczę to tak: kiedy rozpatruje się sprawę, światło w oczy świeci się nie sprawcy, tylko ofierze. To ją się odpytuje. I często, niestety, to kobiety się wstydzą. „Skoro była pijana i poszła do domu pełnego facetów, to co sobie myślała? Mogła pomyśleć". Bo żyjemy w kulturze gwałtu, która utwierdza społeczne przekonanie, że to nie gwałciciele i ci, którzy ich kryją, mają ponosić konsekwencje, tylko ofiary mają być cicho ze strachu przed surową oceną i lekceważeniem ich cierpienia. Seks jest wciąż traktowany jako przestrzeń dla chłopców i mężczyzn. Wiadomo, chłopcy to chłopcy, muszą się wyszaleć. A mężczyzna ma swoje potrzeby. Za to dziewczyny i kobiety powinny niezwykle ostrożnie obchodzić się ze swoją seksualnością. Uważać: żeby nie pokazać za wiele, żeby nie zachęcić za bardzo, żeby nie wypić za dużo, żeby nie rzucać się w oczy, żeby siedzieć cicho, żeby reagować na czas i uciekać wtedy, kiedy jeszcze jest na to pora. Bo inaczej same będą sobie winne wszystkich złych rzeczy, które je spotkają.

Od kilkunastu lat zajmuje się pani kobiecą seksualnością. Spodziewała się pani tylu opowieści o przemocy?

Kiedy zaczynałam, wyobrażałam sobie, że będę pisała o sztuczkach erotycznych. Że na konsultacjach, spotkaniach i warsztatach będę mówiła o tym, jak urozmaicać seks. Owszem, o tym też mówię, ale sądziłam, że to będzie mój główny wkład w ten temat.

A co się okazało?

Że większość kobiet, z którymi rozmawiam, czy to towarzysko, czy podczas spotkań i warsztatów, które od kilkunastu lat prowadzę w całej Polsce, doświadczyła przemocy w przestrzeni seksualnej. Większość. To problem tak powszechny, a mówi się o nim tak mało i tak cicho. Bardzo często słyszę: „Jest pani pierwszą osobą, której o tym mówię". Kobiety wstydzą się, że zostały skrzywdzone. Gwałt w Polsce piętnuje ofiarę, a nie sprawcę. Wstyd jest po niewłaściwej stronie. Przecież to jest po prostu chore. Kiedy słucham tych historii, mam łzy w oczach. Za każdym razem. To przerażające historie, o których się nie mówi.

Bernadette Greene-Placentia, demokratyczna kandydatka do Izby Reprezentantów z Arizony, opowiedziała o gwałcie podczas poprawiania znaków wyborczych nocą. Co pani odpowiada na pytanie: „Po co wychodziła sama?"

Od razu zapytałabym: a kto zgwałcił? Gdzie jest gwałciciel? Bo problemem nie jest to, że kobiety masowo źle się zachowują, prowokują, nie myślą i są naiwne oraz głupie. Problemem jest to, że mężczyźni gwałcą. Ostatnio na moich warsztatach rozmawiałyśmy o dziewczynie mieszkającej w Berlinie. Poznała chłopaka przez aplikację i na pierwsze spotkanie umówili się w dużym klubie tanecznym. Tańczyli razem. W pewnym momencie jej nowo poznany znajomy wyczuł, że nagle zesztywniała. Zapytał, co się stało. Okazało się, że ktoś włożył jej palec do pochwy, wymacał ją w czasie tańca. My nie znamy tych historii o przekroczeniu granic i molestowaniu z punktu widzenia kobiet. Nie wiemy, jaki to szok, jak się reaguje i jaka to trauma. Powiedziała znajomemu, co się wydarzyło, a on pobiegł do obsługi. I w całym klubie momentalnie wyłączyli muzykę. Zapalili mocne światła. I złapali tego człowieka. Kiedy tego słuchałyśmy, wszystkim nam, kolokwialnie mówiąc, opadły szczęki. Część z nas miała łzy w oczach. A jednak można. Można stanąć po stronie kobiety. Można chronić. Można pociągnąć do odpowiedzialności sprawcę. Ale u nas tego się nie robi. Jesteśmy z tym same. Uciszane. Zawstydzane i atakowane: sprowokowałyśmy, jesteśmy głupie, bo nie pomyślałyśmy. Sprzedaje się nam niedorzeczne podpowiedzi pod hasłem: żeby w trakcie rozmowy z hydraulikiem nie być zbyt miłą i nie proponować mu herbaty, to może uda nam się uniknąć gwałtu. I od razu mamy w takich śmierdzących radach sugestię, że jesteśmy zdane tylko na siebie i że to normalna sytuacja, że nikt nam nie pomoże. Nienormalne sytuacje nazywa się normą. Uczy się nas, że

eprasa.pl 01d57292a7

jeśli przydarzyła nam się krzywda, to znaczy, że coś źle zrobiłyśmy. A nie, że gwałcicieli jest cholernie za dużo. I za mało chłopaków i mężczyzn staje w obronie kobiet. Musimy wyraźnie powiedzieć: przemoc seksualna ma płeć. Zacznijmy o tym mówić. To płeć męska. Mężczyźni gwałcą dziewczyny i kobiety.

Czy przez te kilkanaście lat coś się zmieniło w podejściu do przemocy sek-sualnej?

Część kobiet jest bardziej świadoma, że seks wymaga zgody obu stron. Wielu panów cały czas uważa, że kobiety zrobiły się przewrażliwione i że to wina feministek, które przesadzają i mieszają kobietom w głowach. Że rzekomo teraz to nawet strach powiedzieć komplement.

A czy kobiety częściej ujawniają, że zostały zgwałcone?

Dalej jest dużo milczenia wokół tematu przemocy seksualnej. Ciągle słyszę takie historie. To, o czym kobiety nie mówią, to wielka księga gwałtów. Historie z imprez, na których on ją upił, obiecał zawieźć do domu, wylądowali u niego, on zgwałcił, a ona potem zostaje z poczuciem winy i bezradności, że nie może tego zgłosić, no bo przecież go znała, piła z nim, wsiadła z nim do taksówki. Historie z randek, on napiera na jej granice, ignoruje jej „nie", „nie chcę tego", „nie dzisiaj", wreszcie po jego kilkunastu kolejnych próbach zmiękczenia jej, ona jest zmęczona nagabywaniem i w ten sposób odbywa się wymuszony stosunek. Historie z małżeńskich łóżek: bo jemu się należy i nie będzie zawracał sobie głowy tym, czy ona też ma na to ochotę i tego chce. Historie z czasu rozwodu. Małżonkowie są w trakcie rozstania, ale rozwodu jeszcze nie ma. Miesz-kają razem, bo przecież okoliczności bywają różne. Rozstanie jest trudne, więc kobieta bierze środki nasenne, żeby móc spać. I budzi się w trakcie gwałtu analnego dokonywanego przez męża. I co? Ma iść na policję? Siedzimy i słuchamy. Oczywiście możemy się oburzać, że powinna iść, ale po pierwsze: on nie powinien gwałcić. To tak zwany porządny obywatel. Człowiek na stanowisku, w dużym mieście. Otoczony tak zwanym powszechnym szacunkiem społecznym. I ona, rozdygotana, ma w trakcie rozwodu iść na policję i tłumaczyć, że mąż ją zgwałcił. „Jak to mąż panią zgwałcił? Przecież mieszka pani z mężem. To pani mąż". Historie z policji: na początku tego roku został aresztowany dowódca oddziału prewencji za gwałt na młodej policjantce. Pamiętam też historię z Podlasia, która mną głęboko poruszyła, a dobrze ilustruje, gdzie jesteśmy. Słyszę od mieszkańca, że u nich jest bezpiecznie, nie ma przemocy, nie ma przestępstw, nawet domów nie trzeba zamykać. Sielanka. A potem przechodzimy do pojedynczych historii. O, a ten pan, który właśnie przeszedł, to bił żonę, ale tak konkretnie. Gołą ciągał po ściernisku. „Jakoś wytrzymywała", ale gdy zaczął gwałcić dorastające córki, poszła na policję i zamknęli go do więzienia. Wyszedł akurat, gdy starsza miała brać ślub. Rozniosło się po okolicy, że wychodzi ojciec, który ją gwałcił, i narzeczony zerwał zaręczyny. Dziewczyna się powiesiła. O tym wszystkim opowiada mi człowiek z kamienną twarzą, przekonany, że u nich wszystko jest jak należy: „nikt nie kradnie i nikt się nie puszcza". To wszystko są historie, które zbyt długo były lekceważone i marginali-zowane. Każdy z nas powinien zatrzymać się na moment i pomyśleć, co byśmy zobaczyli, gdybyśmy zapalili światła w ciemnych zakamarkach polskich sypialni.

Brak zgody na seks to podstawa definicji gwałtu.

Jednak nie widzę dużych zmian w systemowym podejściu do problemu. Od mundurowych wciąż słyszymy głównie pouczanie kobiet, co robić, żeby nie zostać zgwałconą. A milczy się na temat sprawców. Ostatnio na moich warsztatach była na ten temat gorąca dyskusja. Jedna z uczestniczek opowiedziała o tym, jak policjant potraktował ją jak niemądrą, bo nie miała w torebce gazu pieprzowego. I jak od tamtej pory, oświadczyła z dumą, ten gaz zawsze przy sobie nosi. Wkurzyła mnie ta historia. Nie mam nic przeciwko chronieniu się w każdy możliwy sposób w świecie, gdzie poluje się na nas jak na łowną zwierzynę. Jednak mam dość kolejnych opowieści o napuszonym facecie, który tłumaczy „niemądrej" kobiecie jak ma się chronić przed napaścią i gwałtem. Bo inaczej głupia będzie sama sobie winna. Dlaczego panowie policjanci i wszyscy inni z takim zapałem i przekonaniem nie edukują mężczyzn, żeby nie gwałcili, jak pouczają kobiety, co mamy zrobić, żeby nie zostać zgwałcone? Nie widziałam akcji policyjnej skierowanej do mężczyzn, żeby nie gwałcili. Może ktoś widział, może słyszał. Chętnie się z taką akcją zapoznam. Ale jedyna akcja policyjna, którą pamiętam, to slogan sprzed kilku lat „Mądre dziewczynki nie piją drinki". Czyli: skoro pijesz drinka, to co sobie myślałaś? Jesteś sama sobie winna.

Na swojej stronie napisała pani: „A czy ty jesteś idealną ofiarą przemocy seksualnej? Lepiej bądź". Kim jest ta „idealna ofiara"?

Chodzi o jeden z najbardziej paskudnych, moim zdaniem, stereotypów związanych z kobietami i przemocą. Nie z seksem, bo o seksie możemy mówić wtedy, kiedy jest zgoda obu stron. Mit idealnej ofiary to przekonanie, że prawdziwymi ofiarami przemocy są tylko kobiety, które zachowują się odpowiednio w przypadku napaści. Ofiara idealna powinna zachowywać się nieskazitelnie: być subtelna, odpowiednio ubrana, niewinna i bez zarzutu. W momencie ataku broni się „odpowiednio". Ofiara idealna szuka pomocy we właściwym czasie i we właściwy sposób. Ofiara idealna nie jest bezczelna, rozrywkowa, irytująca ani skomplikowana. Idealna ofiara nie pije. Nie flirtuje. Nie wraca do sprawcy. Nie zmienia zdania. Nie zachowuje się „dziwnie". Czyli maglowanie ofiar napaści: czy nie prowokowałaś ani strojem, ani zachowaniem. Przestrzegałaś wszystkich zasad bezpieczeństwa, chociaż tych zasad dla kobiet jest tak dużo, że nigdy nie będziemy w stanie przestrzegać wszystkich. Musiałybyśmy zamknąć się w domu i nic nie robić. Ale przecież nawet to nas nie uchroni, bo w większości przypadków gwałcicielami są osoby, które znamy. W momencie ataku masz bronić się do ostatniej kropli krwi. Nie wolno ci zesztywnieć, zamarznąć. Nie powinnaś reagować tak, jak zachowuje się w sytuacji napaści wiele kobiet: zamiera głos, one same zamierają i myślą tylko o tym, żeby przeżyć. Część jak najszybciej opuszcza to miejsce i chce zapomnieć. Czasami wracają do sprawcy. Czasami próbują zachowywać się tak, jakby nic się nie stało. Kolejny element: czy właściwie zgłosiła? Samo zgłoszenie to za mało, trzeba zrobić to w odpowiedni sposób i we właściwym momencie. Bo nawet jeśli zgłosiła, to jak na amerykańskim uniwersytecie, może być zlekceważona, bo zrobiła to jakoby za późno. I władze stanęły po stronie miłych chłopców, którzy ją zgwałcili. Nigdy nie będziemy wystarczająco idealną ofiarą. Każdą z nas można oskarżyć, że sama ten gwałt sprowokowała. Ofiara idealna to patriarchalny standard służący do decydowania o tym, komu wierzyć, kogo traktować poważnie, a komu można dołożyć lekceważeniem, ignorowaniem i oskarżaniem o to, że co sobie myślała i widocznie sama tego chciała. I znowu gwałciciel, mężczyzna, nie jest w centrum zainteresowania.

Problemem staje się kobieta, a nie gwałt.

A nie gwałciciel. Często spotykam się ze strony panów z tym słynnym: „Ale ja nie gwałcę". Kiedy mówi się, że mężczyźni gwałcą, najczęściej pada to zdanie: „Ale przecież nie wszyscy mężczyźni". Ale ciągle gwałci zbyt wielu z nich. To patriarchalny, antykobiecy trik: bo przestajemy rozmawiać o tym, co się wydarzyło, o krzywdzie kobiety czy dziewczyny, a skupiamy się na biednych mężczyznach. Żeby w centrum były dobro mężczyzny, jego dobre imię, ego i przyzwolenie na brak konsekwencji, kiedy krzywdzi kobietę, a nie przemoc wobec niej. Na tym też polega kultura gwałtu: lekceważymy krzywdę kobiet i jedno-cześnie lekceważymy ich prawo do przyjemności. To jest ze sobą połączone. Dlatego od tylu lat mówię, że seks to ma być przyjemność. Bo mocno tkwi w nas przekonanie, że przyjemność w seksie dla kobiet to fanaberia, nie przesadzajmy, są ważniejsze sprawy niż satysfakcja z seksu. Ale zaraz, zaraz. Zatrzymajmy się. Seks to musi być przyjemność. Jeżeli nie ma w nim przyjemności, to nie jest seks. Co tu się właściwie wydarzyło? Dużo kobiet doświadcza przemocy seksualnej, a nawet nie ma narzędzi, żeby to nazwać. Słyszę na przykład: „Poszłam na randkę, nie myślałam o seksie. Mówiłam, że nie chcę, ale on po-wtarzał: „No co ty, co ci szkodzi, no weź". Po którymś razie wreszcie powiedziałam: dobra, niech będzie. A potem byłam smutna". I mówię: bo to nie był seks.

To była przemoc.

Tak, to był gwałt. Jeżeli twoje „nie" jest ignorowane, granice przekraczane, a mężczyzna zachowuje się jak drapieżca, który szuka sposobu, żeby cię upolować, to nie jest seks. Obie strony pytają: „A jak ty się czujesz? Czy to ci się podoba? Chcesz robić to dalej?". To bardzo seksowne. Często słyszę zarzut, że pytanie o zgodę psuje nastrój. Odpowiadam: jeżeli pytanie o zgodę psuje nastrój, to znaczy, że tej zgody tam nie było i ty dobrze o tym wiedziałeś. A wymuszony seks nie psuje nastroju? To jest romantyczne? Przekraczanie granic? Manipulowanie? Wykorzystywanie drugiej strony? Podkreślam też, żeby nie łączyć seksu z miłością. Młode dziewczyny tak często słyszą od rodziców, podawane im w dobrej wierze rady: „Seks wtedy, kiedy będziesz go kochała". A co z tego, że będziesz go kochała, jeśli on będzie wymuszał, nie będzie szanował granic i upewniał się, że ty też czujesz się dobrze? Seks jest wtedy, kiedy czujemy się bezpiecznie. Kiedy obie strony działają aktywnie, żeby upewnić się, że druga strona też tego chce, że obu stronom to sprawia przyjemność. W każdej chwili można cofnąć zgodę na seks. Mężczyźni nie są seksualnymi bestiami, które, kiedy dojdą do jakiegoś etapu, nie mogą się już wycofać. To kwestia kultury. I mężczyźni, i kobiety mogą zatrzymać i wycofać się na każdym etapie.

Mówi pani: uczmy mężczyzn, żeby nie gwałcili. Od jakiej rozmowy z chłopcami trzeba zacząć?

Ostatnio bardzo często słyszę to pytanie. Zadają mi je jednak niewłaściwe osoby, bo pytają matki. Chciałabym, żeby zainteresowali się tym ojcowie. Uważam, że o przemocy i gwałcie powinni rozmawiać z chłopcami ojcowie i inni mężczyźni. Co mężczyźni mogą zrobić, żeby wspierać ko-

REKLAMA 0311461412


eprasa.pl 01d57292a7

WYWIAD

biety? Przestać przyzwa-lać na toksyczną męskość wśród swoich kolegów i zacząć pociągać ich do odpowiedzialności za ich zachowanie. Niestety, zbyt często chłopcom przedstawia się jako wzór męskości samca alfa. To wzorzec, do którego nasze konserwatywne, patriarchalne społeczeństwo zachęca mężczyzn, a często też ich zmusza: jak nie będziesz prawdziwym mężczyzną, będziesz babą, cipą. Gorzej być nie może. Samiec alfa to mężczyzna, który, tak jak ci studenci amerykańskiego uniwersytetu, traktuje dziewczyny i kobiety jak kogoś mniej znaczącego od faceta, a w kontekście seksualnym jak zwierzynę łowną. Przecież dla mężczyzny to powód do dumy, że „zaliczy". Udało mu się złapać, złowić kobietę. Jest zwycięzcą. Dlatego mam gorący apel do panów, żebyście reagowali. Kiedy na przykład słyszycie, jak kolega obraźliwie wypowiada się o kobiecie lub opo-wiada na jej temat poniżający żart, reagujcie i otwarcie mu się sprzeciwiajcie. Jeśli inni mężczyźni pójdą w wasze ślady, zwrócą takim kolegom uwagę i wykluczą ich ze swojego kręgu towarzyskiego lub z pokoju socjalnego w pracy, przestaną mówić w ten sposób. Ścigajcie i pociągajcie do odpowiedzialności mężczyzn, którzy krzywdzą, czy to swoje partnerki, czy przypadkowe dziewczyny i kobiety. Tak samo jak ścigalibyście mężczyznę, który znęca się psy-chicznie, emocjonalnie lub fizycznie nad współpracownikiem, obcą osobą, czy nawet własnym psem. Jeśli znajomy opowiada o swoich seksualnych podbojach to pytajcie: czy pytałeś ją o zgodę? Czy zaangażowałeś się, żeby upewnić się, że miała z tego przyjemność, czuła się dobrze? I wierzcie osobom, które doświadczyły przemocy, nigdy nie zakładajcie ani nie mówcie: „On nigdy by cze-goś takiego nie zrobił".



FOT. 123RF

Joanna Keszka: Żyjemy w kulturze gwałtu, która utwierdza przekonanie, że to nie gwałciciele i ci, którzy ich kryją, mają ponosić konsekwencje, tylko ofiary mają być cicho

Co powinno się zmienić, żeby kobieta poczuła ochronę prawa w praktyce?

Jeżeli chodzi o sprawne działanie prawa, powinny zaangażować się policja i sądy. My jako społeczeństwo powinniśmy zacząć mówić o tym, żeby mężczyźni przestali gwałcić. Problemem jest to, że nieustannie pou-cza się kobiety, co zro-bić, żeby uniknąć gwałtu, a potem obwinia, że ich zachowanie nie było wystar-czająco odpowiedzialne, żeby zasłużyły na pomoc. A nie pyta się mężczyzn, co robią, żeby nie gwałcić. Zmieńmy sposób myślenia o seksie. Myślimy o nim jak o placu zabaw dla mężczyzn. O czymś, co im się należy w związkach, w małżeństwie, w społeczeństwie. A to ważna część naszego dorosłego życia i po-winna być w niej równość. Powinno być ważne to, czego chcą i potrzebują obie strony. Tej równości ciągle nie ma. Żyjemy w kraju zacofanym i antykobiecym. W seksie widać to najbardziej. Po co zgłaszać przemoc seksualną, jeśli wiadomo, że kary dla sprawcy nie będzie? Seks cały czas jest w strefie tabu. Krąży wokół niego masa fałszywych przekonań. Teraz w mediach widzę modę na edukację seksualną z gabinetów ginekologii estetycznej. Zachęca się kobiety do zabiegów, żeby tak naprawdę lepiej znosiły niechciany i niekomfortowy seks. Jeśli kobietę boli, odczuwa dyskomfort podczas seksu, trzeba się zastanowić, co się tu wydarzyło, a nie poprawiać jej pochwę, jakby była zepsutym urządzeniem do wiecznej naprawy. Ciągle mówi się nam, że nasza przyjemność nie ma aż takiego znaczenia. Najważniejsze to podobać się i zatrzymać mężczyznę. I że seks to penetracja. To przekłamania, ćwierćprawdy albo w ogóle nieprawdy. Większość kobiet nie potrzebuje włożenia penisa do pochwy, żeby mieć przy-jemność. Wielu mężczyzn również potrafi mieć przyjemność z seksu bez sprawiania kobiecie bólu, jeżeli penetracja powoduje u niej dyskomfort. Jeżeli seks sprawia mi ból, powinnam od razu go zatrzymać. Obie strony powinny się za-trzymać. Jeżeli jest dyskomfort, to nie ma seksu. A nas się uczy, że dla dobra związku, dla miłości, dla zatrzymania partnera kobieta ma zacisnąć zęby i wytrzymać. Seks nie jest czymś, co się wytrzymuje. A u nas o przyjemności sek-sualnej i równości mówi się za mało. Ciągle jest przekonanie, że mężczyźni ma-ją prawo polować na dziewczyny i kobiety, że wolno im traktować kobiece cia-ło, jakby to był bankomat, do którego należy im się PIN w momencie pierwszej erekcji. Że im się coś należy, bo mają swoje męskie potrzeby.

A gdybyśmy zaczęli pisać poradniki dla mężczyzn, żeby nie gwałcili? Jaka powinna być pierwsza rada?

Zapytaj ją. Chcesz mieć seks? Zapytaj ją, czy ona też tego chce, czy dobrze się czuje, czy sprawia jej to przyjemność. Zapytaj i potraktuj poważnie odpowiedź. Jeżeli jest zbyt onieśmielona, zbyt zawstydzona, pijana; jeżeli powiedziała kil-kanaście razy „nie", „nie" i „nie", ale za twoim kolejnym napieraniem na jej granice wreszcie powiedziała znużonym głosem: „Dobra, niech będzie", to nie jest zgoda na seks. To gwałt. Jesteś gwałcicielem. Jesteś bandytą. Nazywajmy rzeczy po imieniu. Gwałt to bandyctwo. Po prostu. Słyszę też historie z gabine-tów ginekologicznych. Często dotyczą młodych dziewczyn, na początku drogi seksualnej, kiedy dopiero zdobywają doświadczenia, a przedstawia się je jako kusicielki sprowadzające mężczyzn na złą drogę. Jest dokładnie odwrotnie. Po co się je w ten sposób przedstawia? Żeby pozbawić je wsparcia społeczeństwa. A one bardzo go potrzebują. Słyszę historie o dziewczynach wymacywanych podczas badania ginekologicznego. O lekarzu dotykającym łechtaczki. To nie są normalne sytuacje. Dziewczyny to czują, drętwieją, ale nie potrafią tego nazwać. Potem mówią: „Nigdy więcej nie pójdę do mężczyzny". Ile jest takich historii?

Jak zmienić kulturę gwałtu?

Żeby stawić czoło kulturze gwałtu, trzeba najpierw dobrze ją zrozumieć. To coś mniej oczywistego, ale dużo bardziej potężnego: powszechne tolerowanie przemocy seksualnej, dawanie na nią przyzwolenia i przerzucanie winy na ofia-rę. Obwinianie ofiary gwałtu i szukanie usprawiedliwienia dla sprawcy to dwa filary kultury gwałtu. Oba w Polsce mają się bardzo dobrze.

Po sprawie Cornell Seven w Stanach pojawił się inny przekaz. Jak zapew-nić bezpieczeństwo kobiecie?

Zamiast tego, do czego jesteśmy przyzwyczajone: nie bądź zbyt miła dla hy-draulika, nie podawaj mu herbaty, bo będziesz sama winna, że cię zgwałci, nie wychodź z domu i nie zakładaj tej krótkiej spódnicy, pojawił się inny przekaz. Chcesz zapewnić bezpieczeństwo kobiecie? Nie gwałć. Czujesz, że chcesz gwałcić? Zostań w domu. Czujesz, że twój kolega może gwałcić? Zamknij go w domu. To są dobre porady. Nie wychodź do kobiet. Edukuję od lat, że seks oznacza podejście do niego jak do działania, które podejmujemy wspólnie z ko-chanką lub kochankiem, a nie w opozycji do niej lub do niego. Każda forma kochania się jest w porządku, dopóki jest na to zgoda obu stron. Zgoda w po-staci głośnego i wyraźnego: „tak", „tak, chcę tego", albo „chcę więcej, nie prze-stawaj" to jedyna rzecz, która sprawia, że seks jest ok. Do tego wstyd powinien być po właściwej stronie. Wstydzić powinni się ci, którzy próbują krzywdzić, próbują gwałcić. Ci, którzy gwałcą, powinni być traktowani jak przestępcy i bandyci. A kobietom, które doświadczyły przemocy, należy się wsparcie. Je-stem osobą wierzącą w zmiany i wierzącą w kobiety i mężczyzn, którzy szcze-rze lubią kobiety. Wiem, że społeczeństwo, które nie lekceważy krzywdy i po-ważnie traktuje prawo do przyjemności w przestrzeni seksualnej, jest społe-czeństwem, którego wszyscy potrzebujemy. To społeczeństwo, w którym jest więcej otwartości, więcej wsparcia dla słabszych, tych, którzy potrzebują po-mocy, a mniej manipulacji i wykorzystywania. Od wielu lat powtarzam: ten kraj potrzebuje kobiecych orgazmów. Bo tam, gdzie jest miejsce na przyjemność z seksu także dla kobiet, nie ma przyzwolenia na krzywdę i manipulację. Zmiana społeczna, której potrzebujemy, naprawdę może zacząć się w łóżku, a z pomi-nięciem łóżka nie może się udać, bo tam się zaczyna negocjowanie relacji. Bo ludzie, którzy to umieją, swoją otwartość przenoszą do społeczeństwa. Albo wnoszą tam usztywnienie w rolach, czyli egzekwowanie „swojego" poprzez przemoc, manipulację, znieczulenie na tę przemoc.



FOT. MAT.PRAS.

Joanna Keszka

Autorka poradników i książek o seksualności „Grzeczna to już byłam" i „Potęga Zabawnego Seksu", edukatorka seksualna. Organizuje warsztaty i szkolenia w całej Polsce. Prowadzi podcast „Grzeczna to już byłam" i stronę edukacyjną www.barbarella.pl.

eprasa.pl 01d57292a7

DOLNY ŚLĄSK

Z tej polskiej stacji odjeżdżają tylko niemieckie pociągi

„Myślałem, że pan z Niemiec" – usłyszałem od mężczyzny, który przyjechał rowerem na dworzec w Krzewinie Zgorzeleckiej. Czekał na pociąg do Cottbus, gdzie jechał do pracy. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że stacja, na której stał, znajduje się w Polsce, a zatrzymują się tu wyłącznie niemieckie pociągi. Polskie składy pasażerskie nie kursują tędy od ponad 26 lat

Michał Perzanowski



FOT. MICHAŁ PERZANOWSKI

Choć dworzec jest w Polsce, zatrzymują się na nim wyłącznie niemieckie pociągi pasażerskie



FOT. MICHAŁ PERZANOWSKI

Budynek stacyjny nie jest już wykorzystywany do obsługi ruchu kolejowego



FOT. MICHAŁ PERZANOWSKI

Z przystanku korzystają też Polacy, jeżdżący do pracy za Nysą

Krzewina Zgorzelecka to stacja kolejowa w powiecie zgorzeleckim między Bogatynią i Zgorzelcem. Typowy punkt na kolejowej trasie. Wystarczy jednak spojrzeć na rozkład jazdy, żeby zauważyć coś nietypowego. Zamiast polskich miejscowości, są w nim niemieckie nazwy. Pociągi przyjeżdżają z Görlitz i jadą w stronę Zittau. Można stąd dotrzeć m.in. do Cottbus.

Stacja leży na polskim terytorium, ale służy przede wszystkim pasażerom podróżującym między niemieckimi miejscowościami. Jedyne pociągi wykonują kursy dla niemieckich linii regionalnych ODEG. Korzystają z niej mieszkańcy Ostritz, którzy po wyjściu z pociągu mogą przejść przez kładkę nad Nysą Łużycką do swojego miasta. Rzadziej przyjeżdżają tu Polacy pracujący za zachodnią granicą.

Na stacji spotykam turystów, którzy właśnie wysiedli z pociągu. Chcą zobaczyć, co znajduje się po drugiej stronie rzeki. - Idziemy kładką do Ostritz, żeby trochę zobaczyć okolicę. Chętnie odwiedzilibyśmy przede wszystkim klasztor St. Marienthal nad Nysą Łużycką. To ciekawe miejsce, więc jeśli wystarczy nam czasu, chcielibyśmy tam zajrzeć – mówią na odchodne.

Żeby zrozumieć, dlaczego tak jest, trzeba cofnąć się do XIX wieku. Stacja została otwarta 15 października 1875 roku na linii łączącej Görlitz z Zittau i początkowo służyła niemieckiemu miasteczku Ostritz. Według niemieckich kronikarzy, na których powołuje się dziennikarz Steffen Linke, podczas budowy linii dużą wagę przywiązywano do oszczędności. Koryto Nysy Łużyckiej miało zostać przesunięte, aby uniknąć budowy dwóch mostów kolejowych i skrócić trasę. W rezultacie stacja znalazła się na wschodnim brzegu rzeki, podczas gdy samo Ostritz leżało po drugiej stronie.

Wówczas nie miało to większego znaczenia. Zarówno dworzec, jak i miasto znajdowały się w Niemczech. Sytuacja zmieniła się po II wojnie światowej. - Dla Ostritz przełomowym wydarzeniem było jednak wytyczenie granicy po II wojnie światowej. Nagle dworzec w Ostritz znalazł się za niemiecką granicą, na terytorium Polski, i początkowo stał się niedostępny dla mieszkańców miasta, choć od miasta dzieli go zaledwie kilkadziesiąt metrów – pisze Linke w swojej publikacji z 2021 roku.

Po wojnie stację zamknięto, bo nie było do niej dostępu od strony polskiej sieci kolejowej. Jej położenie okazało się jednak ważne dla ruchu kolejowego między niemieckimi miejscowościami. Pociągi nadal musiały przejeżdżać przez ten fragment Polski.

Zamknięte okna, płot i straż graniczna

Przez lata przejazd niemieckich pociągów przez Polskę wiązał się z ograniczeniami.

- W 1948 roku władze radzieckiej strefy okupacyjnej Niemiec oraz Polski Ludowej uzgodniły uproszczone zasady ruchu tranzytowego. Po obu stronach Nysy Łużyckiej kontrolowano jednak paszporty i przepustki. Sam budynek dworca otoczony był wysokim, 3-4-metrowym ogrodzeniem, które po zmroku oświetlano tak intensywnie, że teren był jasny jak w dzień. Niemcy nie mogli wchodzić do budynku stacyjnego nawet podczas niepogody - relacjonuje w niemieckich kronikach mieszkaniec Ostritz Gerold Schmacht.

Pociągi jeździły z zamkniętymi drzwiami i zasłoniętymi oknami. - Konduktor biegał przez wagony z czworokątnym kluczem, ryglując kolejne przedziały. Dopiero po latach przepisy stopniowo łagodzono, aż w czasie letnich upałów podróżni mogli wreszcie otworzyć okna - pisze Linke.

W 1959 roku podpisano umowę między władzami PRL i NRD dotyczącą tranzytowego ruchu kolejowego, a następnie porozumienie między PKP i kolejami wschodnioniemieckimi. Stacja działała już pod nazwą Krzewina Zgorzelecka, zaczerpniętą od pobliskiej polskiej wsi.

Sól strefy Schengen

Dziś niemieckie pociągi zatrzymują się tu regularnie. Nie ma tu jednak typowego dworca z kasą biletową i obsługą pasażerów. Budynek nie jest już wykorzystywany do obsługi ruchu kolejowego. Na peronie znajduje się niewielkie, częściowo przeszklone miejsce do siedzenia. Reszta pasażerów musi poczekać na stojąco.

Dla większości podróżnych Krzewina Zgorzelecka nie jest celem samym w sobie. Według danych przekazanych przez rzeczniczkę ODEG Dietmute Graf na jeden kurs wysiadało tu średnio od jednej do dwóch osób. To niewiele, ale stacja nadal pełni swoją funkcję. Umowa przewozowa z niemieckim przewoźnikiem obowiązuje do 2030 roku.

Krzewina Zgorzelecka służy też mieszkańcom polskiej strony granicy, którzy dojeżdżają do pracy w Niemczech. Mężczyzna, którego spotykam na stacji, przyjechał rowerem. Czeka na pociąg jadący w stronę Cottbus. Do pracy ma dotrzeć na g. 14. - Podjechałem rowerem na pociąg o 12.22. W stronę Cottbus jedzie się dość długo, ale warto, bo przynajmniej można zarobić te 3000 euro. A tu, zaraz za granicą, płacą 1700 euro. Chociaż nawet te 1700 euro to już nie są konkurencyjne zarobki w porównaniu z tym, co można dostać w zakładach po polskiej stronie - mówi mi mężczyzna. - Myślałem, że pan z Niemiec - zaczął rozmowę, gdy przywitałem się.

Dla pasażerów nie ma znaczenia, że pociąg jest niemiecki, a peron leży w Polsce. Liczy się możliwość dojazdu i zarobki po drugiej stronie granicy.

Czekają na polskie połączenie

Paradoks Krzewiny Zgorzeleckiej widać jeszcze wyraźniej, gdy porozmawia się z mieszkańcami okolicznych wsi. Pociągi zatrzymują się na polskiej stacji, ale nie można nimi dojechać do Bogatyni ani Zgorzelca w ramach polskiego połączenia regionalnego.

Starsza mieszkanka Bratkowa, pobliskiej miejscowości, zwraca uwagę, że okolica jest spokojna, a dojazd na dworzec nie należy do codziennych tras wielu kierowców.

- Tą drogą na dworzec przejeżdża może jeden samochód dziennie, ruch jest naprawdę niewielki. Z tego dworca korzystają przede wszystkim Niemcy. A szkoda, bo gdyby jeździł tu polski pociąg, to my też mielibyśmy blisko i do Bogatyni, i do Zgorzelca. Jesteśmy mniej więcej w połowie drogi między tymi miejscowościami, więc takie połączenie bardzo by się przydało - mówi mi pani Krystyna.

Polskie pociągi pasażerskie przestały kursować na tej linii w kwietniu 2000 roku. Tory nie zniknęły jednak z mapy. Nadal korzystają z nich pociągi towarowe, między innymi przewożące węgiel z kompleksu energetycznego Turów.

Przez lata powrót połączeń pasażerskich miał być częścią programu Kolej Plus. Projekt rewitalizacji linii Zgorzelec – Bogatynia wyceniono na około 322 mln zł. Zakładano, że 85 proc. kosztów pokryje rząd, a pociągi będą mogły jeździć z prędkością do 120 km/h. Przejazd z Bogatyni do Zgorzelca miał trwać około 47 minut.

Projekt napotkał problemy finansowe. PKP Polskie Linie Kolejowe zarekomendowały odstąpienie od jego realizacji z powodu przewidywanego wzrostu kosztów. W 2026 roku pojawiła się natomiast koncepcja przeprowadzenia niezbędnych prac przez samorząd.

- Prowadzone są rozmowy PKP Polskich Linii Kolejowych z województwem dolnośląskim dotyczące możliwości przekazania w zarząd Dolnośląskiej Służbie Dróg i Kolei infrastruktury związanej z liniami kolejowymi tworzącymi ciąg komunikacyjny między Zgorzelcem a Bogatynią - mówi Rafał Jaśkowski, dyrektor Biura Komunikacji Ministerstwa Infrastruktury.

Przyszłość polskich połączeń na tej trasie pozostaje więc niepewna. Krzewina wciąż będzie więc stacją na granicy dwóch kolejowych rzeczywistości.

eprasa.pl 01d57292a7

ZDROWIE

Zrobiłam medyczny rachunek sumienia: w ciągu roku byłam u 16 ginekologów. A diagnoza?

– Słyszałam od lekarzy, że niektóre kobiety po prostu tak mają. I przyjęłam to z pokorą – mówi 33-letnia Julia Krupa z Poznania. Silny ból towarzyszył jej od pierwszej miesiączki, ale przez lata nie znała jego przyczyny. Odpowiedź przyniósł dopiero miejski program wczesnego wykrywania endometriozy

Sylwia Rycharska

Julia Krupa ma 33 lata. Miesiączkuje od 11. roku życia. Od początku towarzyszył jej silny ból, który potrafił wyłączyć ją z codziennych zajęć. Jako nastolatka opuszczała przez niego lekcje. Zdarzały się migreny trwające nawet tydzień, wymioty, biegunki i omdlenia.

Kiedy z mamą poszła do ginekologa, usłyszała, że niektóre kobiety po prostu tak mają. Później wielokrotnie słyszała, że dolegliwości miną, kiedy urodzi dziecko. Jak zwraca uwagę, takie uwagi mogą być szczególnie trudne dla kobiet, które bezskutecznie starają się o dziecko lub nie wiedzą jeszcze, że choroba może wpływać na płodność.

– Słyszałam, że niektóre kobiety po prostu tak mają, i przyjęłam to z pokorą. Uznałam, że bolesne miesiączki są częścią mojego życia – mówi Julia.

Przez lata regularnie chodziła do ginekologa i dbała o profilaktykę. Regularne badania były dla niej ważne również ze względu na rodzinne doświadczenia związane z nowotworami – mama chorowała na raka pęcherza moczowego, a tata na raka płuca. Nie podejrzewała, że za jej objawami może kryć się endometrioza. Przyzwyczaiła się do bólu, choć z czasem zaczął on coraz mocniej wpływać na jej codzienność, życie zawodowe i prywatne.

„To nie jest tylko problem zdrowotny"

Endometrioza przez lata była dla Julii niewidocznym przeciwnikiem. Nie tylko dlatego, że nikt nie potrafił wskazać przyczyny bólu. Równie trudne było poczucie, że jej dolegliwości nie są traktowane poważnie. Gdy przyszła z bólem, jeden z lekarzy zasugerował wizytę u psychiatry.

– Nie zmienia to faktu, że ból fizyczny wymagał wyjaśnienia – podkreśliła w rozmowie z nami.

Innym razem, podczas badań medycyny pracy, została zapytana o dzieci. Kiedy odpowiedziała, że ich nie ma, usłyszała od okulisty: „Czyli oprócz tego, że nie ma dzieci, to zdrowa".



FOT. WALDEMAR WYLEGALSKI

Julia Krupa dowiedziała się, że ma endometriozę, dopiero po 22 latach bolesnego miesiączkowania

Ten komentarz zapadł jej w pamięć. Julia podkreśla, że pytania o macierzyństwo i płodność mogą dotykać bardzo osobistych spraw. Można je zadawać, jeśli mają związek z problemem medycznym, ale trzeba robić to z wyczuciem.

– Brak wiedzy na dany temat nie powinien oznaczać braku empatii, szczególnie wśród lekarzy – mówi.

Przyznaje, że z wielu wizyt wychodziła sfrustrowana, a niekiedy także z płaczem.

Choroba nie była dla niej tylko bolesnymi miesiączkami. Ból uniemożliwiał jej nawet zwykłe wyjście z domu. Julia jest aktywna, lubi spacery i ćwiczenia, ale zdarzało się, że podczas miesiączki musiała rezygnować z treningów na cały tydzień. Jako nastolatka miewała miesiączki trwające 12-14 dni. Dziś trwają zwykle osiem lub dziewięć.

– Złapałam się nawet na tym, że zastanawiałam się, czy miesiączka nie przypadnie akurat w dniu ślubu. Przy moich nieregularnych cyklach nie dało się tego przewidzieć z wyprzedzeniem, a bałam się, że złe samopoczucie odbierze mi radość z tego dnia – mówi.

– Przez lata stopniowo traciłam zaufanie do własnego ciała. Diagnoza pozwala zrozumieć, co dzieje się w organizmie. Łatwiej wtedy zaakceptować, że czasem choroba wyłączy mnie z normalnego funkcjonowania i wpłynie na moje życie zawodowe czy prywatne – dodaje.

Szesnastu lekarzy w ciągu roku

W ostatnim roku dolegliwości wyraźnie się nasiliły. Julia odczuwała silny ból po lewej stronie podbrzusza. Coraz trudniejsze stawały się również badania ginekologiczne. Pojawiły się nasilone problemy jelitowe, takie jak zaparcia trwające nawet dwa tygodnie, wzdęcia przypominające ciążę oraz wcześniej rozpoznany zespół jelita drażliwego (IBS).

– Dziś już wiem, że część problemów wynikała z endometriozy – zaznacza.

Postanowiła poszukać pomocy. – Zrobiłam sobie taki medyczny rachunek sumienia. Wyszło, że w ciągu ostatniego roku byłam u 16 ginekologów – opowiada.

Kolejne wizyty nie przynosiły odpowiedzi. Julia słyszała, że w badaniu nic nie widać i nie ma powodu, żeby odczuwała ból. W rezonansie miednicy mniejszej opisano zmianę w trzonie macicy i zalecono kontrolę ginekologiczną. Podczas kolejnej wizyty lekarka nie uznała jednak wyniku za niepokojący, ponieważ nie widziała zmian w USG.

Dolegliwości nie ustępowały, dlatego szukała pomocy u kolejnych specjalistów.

Jeden z lekarzy podejrzewał stan zapalny. Julia przeszła dwie serie antybiotykoterapii, które nie przyniosły poprawy. Pojawiły się za to ko-

eprasa.pl 01d57292a7



FOT. WALDEMAR WYLEGALSKI

Dr n. med. Kamila Witczak, ginekolog

Wielokrotnie zastanawiałam się, czy może sobie czegoś nie wmawiam. Jeśli ktoś podważa – systematycznie – nasze objawy, a dzieje się to wiele razy, zaczyna się w nie wątpić. Ze mną właśnie tak było

JULIA KRUPA
Poznanianka, u której zdiagnozowano endometriozę dzięki miejskiemu programowi

lejne problemy jelitowe. Została skierowana na gastroskopię i kolonoskopię, podczas której usunięto polip. To nie rozwiązało jednak problemu.

Dopiero jeden z kolejnych ginekologów zasugerował endometriozę. Sam przyznał, że nie specjalizuje się w tej chorobie, i zaproponował antykoncepcję hormonalną. Julia miała jednak silne migreny z aurą, a neurolog wcześniej zalecał jej odstawienie hormonów ze względów bezpieczeństwa. Nie zrealizowała więc recepty, ale zaczęła szukać informacji o endometriozie.

– Wielokrotnie zastanawiałam się, czy może sobie czegoś nie wmawiam. Jeśli ktoś podważa – systematycznie – nasze objawy, a dzieje się to wiele razy, zaczyna się w nie wątpić. Ze mną właśnie tak było – mówi.

Po 22 latach znalazła odpowiedź

O miejskim programie profilaktyki i wczesnego wykrywania endometriozy w Poznaniu dowiedziała się przypadkiem. Koleżanka z pracy wspomniała, że podejrzewa u siebie tę chorobę. Julia przesłała jej artykuł o programie. Wtedy nie przypuszczała jeszcze, że sama może potrzebować takiej pomocy.

Kiedy ruszył kolejny nabór, przeczytała kryteria i uznała, że się kwalifikuje. Zgłosiła się, choć nie była przekonana, że właśnie w ten sposób znajdzie odpowiedź na swoje problemy.

Już podczas pierwszej wizyty lekarka była w stanie wyczuć zmiany podczas badania ginekologicznego. Podczas tej samej wizyty przeprowadziła przezpochwowe badanie ultrasonograficzne, podczas którego stwierdziła zmiany o charakterze endometriozy, sugerujące postać głęboko naciekającą.

Julia otrzymała zalecenie leczenia farmakologicznego i skierowanie na rezonans magnetyczny miednicy mniejszej z protokołem endometriozy. Wynik rezonansu potwierdził podejrzenia.

Po latach bólu i kolejnych wizyt wreszcie wiedziała, co się z nią dzieje.

– Nie byłam jednak przygotowana na to, że może mi grozić operacja. Nie miałam świadomości, do czego może prowadzić głęboko naciekająca endometrioza – przyznaje Julia. Podczas konsultacji dowiedziała się, że w niektórych przypadkach zaawansowanej, głęboko naciekającej endometriozy konieczne może być przeprowadzenie rozległego zabiegu chirurgicznego. W zależności od lokalizacji i zaawansowania zmian, np. w sytuacji stwierdzenia guza jelita, konieczna może być częściowa resekcja narządu. Przy określonych wskazaniach może być również potrzebne wyłonienie stomii.

– W każdym przypadku zakres i sposób leczenia ustalany jest indywidualnie, z uwzględnieniem wieku pacjentki, nasilenia objawów oraz jej planów prokreacyjnych – wyjaśnia dr Kamila Witczak, ginekolog koordynująca miejski program. Na co dzień lekarka pracuje w Szpitalu Wojewódzkim w Poznaniu, gdzie pełni obowiązki kierownika oddziału ginekologiczno-położniczego.

– Z uwagi na plany pani Julii dotyczące macierzyństwa zalecono konsultację specjalisty medycyny rozrodu i niepłodności. Dzisiaj nie wiemy, na ile skuteczne u pani Julii okaże się leczenie farmakologiczne – dodaje. Pacjentkę skierowano również na konsultację do ośrodka leczenia endometriozy w Wielkopolskim Centrum Onkologii.

– Korzystam z pomocy psychologa i chcę skonsultować się ze specjalistą mającym doświadczenie w pracy z pacjentkami stojącymi przed podobnymi decyzjami – wyjaśnia Julia.

Jak wspomina, dużo dały jej warsztaty organizowane w ramach programu. Otrzymała tam informacje od lekarzy, dietetyka i fizjoterapeutki uroginekologicznej. Miała też okazję na wymianę doświadczeń z innymi kobietami chorującymi na endometriozę.

Dlaczego diagnoza trwała tak długo?

– Trudno jest mi odpowiedzieć, z jakiego powodu tak długa była droga do diagnozy w indywidualnym przypadku pani Julii. Mogę jednak odnieść tę sytuację do szerszego kontekstu – zaznacza dr Kamila Witczak.

Jak wyjaśnia, długi czas do postawienia diagnozy wynika zwykle z kilku nakładających się czynników. Endometrioza może dawać bardzo różnorodne objawy i naśladować wiele innych chorób, przez co pacjentki latami trafiają do niewłaściwych specjalistów. Problemem jest również brak prostych testów diagnostycznych oraz ograniczenia standardowego badania USG. W wielu przypadkach konieczne są bardziej zaawansowane badania obrazowe wykonywane według specjalnych protokołów. Zdaniem lekarki znaczenie ma także wciąż obecne przekonanie, że kobiecy ból, zwłaszcza związany z miesiączką, jest czymś naturalnym i nie wymaga leczenia.

– Warto pamiętać, że w przypadku endometriozy nie ma prostej zależności między rozległością zmian a nasileniem bólu. Kobieta z zaawansowaną chorobą może nie odczuwać istotnych dolegliwości, podczas gdy pacjentka z niewielkimi ogniskami endometriozy może doświadczać bólu uniemożliwiającego normalne funkcjonowanie – podkreśla dr Witczak.

Wiele kobiet, jak tłumaczy dalej lekarka, przez lata nie kojarzy swoich dolegliwości z endometriozą.

– Do konsultacji powinny skłonić przede wszystkim silne bóle miesiączkowe, które często nie ustępują po lekach przeciwbólowych, powodują nieobecność w pracy lub szkole albo prowadzą do omdleń, nudności czy wymiotów. Niepokojące są również: obfite krwawienia miesiączkowe, ból podczas współżycia, przewlekły ból miednicy mniejszej oraz objawy ze strony układu moczowego, przewodu pokarmowego, takie jak wzdęcia, zaparcia, biegunki czy bolesne wypróżnianie. Endometrioza może objawiać się także problemami z zajściem w ciążę, przewlekłym zmęczeniem czy zaburzeniami nastroju – wylicza dr Witczak.

Co dalej po zakończeniu programu?

Julia nie ma wątpliwości, że udział w miejskim programie był dla niej przełomem. Zastanawia się jednak, co stanie się z kobietami, które będą szukać pomocy po zakończeniu programu. Sama wie, gdzie szukać specjalistycznej pomocy, ma zaplanowaną konsultację i chce dalej poszerzać wiedzę o chorobie. Nie każda pacjentka ma jednak takie możliwości i siłę, by przez lata walczyć o rozpoznanie.

– To nie są tylko przypadki medyczne. Za każdą diagnozą stoi konkretna kobieta, jej życie, rodzina i codzienne problemy. Ta pomoc naprawdę zmienia życie – podkreśla Julia.

eprasa.pl 01d57292a7

SPOŁECZEŃSTWO

Urodziny z marihuaną. Pobita Wiktoria trafiła do domu dziecka

Mamo!!! - płakała w nocy dwuletnia Wiktoria. Młodą matkę tylko tym denerwowała, bo ona za ścianą miała imprezę urodzinową. Byli goście, alkohol i marihuana. Wtedy dziecko było bite - ustaliły prokuratura i sąd w Toruniu

Małgorzata Oberlan

Wtorek, 20 października 2026 roku, Sąd Rejonowy w Toruniu. Młoda matka, Agnieszka W. słyszy wyrok. Za spowodowanie lekkiego uszczerbku na zdrowiu u swojej córeczki i naruszenie jej nietykalności cielesnej skazana zostaje na 8 miesięcy bezwzględnego więzienia.

- Nie zgadzamy się zarówno z karą, którą postrzegamy jako rażąco łagodną oraz ze zmianą kwalifikacji prawnej na łagodniejszą. Sąd uznał, że zachowanie oskarżonej nie wypełnia znamion znęcania, a jedynie uszczerbku na zdrowiu i naruszenia nietykalności. Wyrok zdecydowanie oceniamy jako niesłuszny - podkreśla prokurator Joanna Becińska, kierująca Prokuraturą Rejonową Toruń Wschód.

Wiadomo od razu, że będą apelacje. Na ile lat za kraty pójdzie młoda matka - czas pokaże. Prokuratura żądała dla niej kary 3 lat i 8 miesięcy więzienia. Na razie Agnieszka W. jest na wolności, bo z aresztu wypuszczono ją po pół roku od pobicia - taka była decyzja sądu, przekonanego argumentami obrońcy.

A co dzieje się dziś z pobitą rok temu Wiktorią? Sprawdziliśmy. Nie są to wesołe informacje.

Biała po twarzy i po głowie, bo płacz córeczki przeszkadzał w imprezie

Zacznijmy jednak od tego, co się wydarzyło krytycznej nocy z 18 na 19 października 2025 roku. Blok na Jakubskim Przedmieściu w Toruniu. Porządne osiedle. To tutaj rozgrywał się dramat dwuletniej Wiktorii - dziewczynki wychowywanej przez 24-letnią toruniankę.

Jak nietrudno policzyć, Agnieszka W. została matką mając lat 22. Z ojcem dziecka jej się nie ułożyło, ale, jak przekazuje prokuratura, uznał córkę, nosi jego nazwisko. Dobrowolnie płacił też alimenty. Agnieszka natomiast pracowała - wtedy do dziecka przychodziła opiekunka.

Do roli rodzica jednak nie dojrzała.

Krytycznej nocy Torunianka świętowała swoje urodziny. Byli goście, alkohol i marihuana. I była za ścianą domagająca się uwagi matki dwuletnia Wiktoria. Płakała, wzywała mamę, czym tylko ją denerwowała. Jak ustaliła Prokuratora Rejonowa Toruń-Wschód i potwierdził w procesie sąd, Agnieszka W. wtedy biła córeczkę. Śledczym zeznała potem, że tak chciała dziecko „uciszyć".

- Dokonała uszkodzenia ciała małoletniej córki w ten sposób, że kilkukrotnie uderzyła dziecko ręką po prawym i lewym pośladku, po głowie, po obu stronach twarzy, a także szarpnęła za lewą rękę. W wyniku tego pokrzywdzona dziewczynka doznała obrażeń ciała w postaci m.in. licznych zasinień, zadrapań na twarzy, licznych zasinień na twarzy z wybroczynami, nadżerkami, głównie na lewym policzku i skroni, i pod prawym okiem, rozległych zasinień barwy sino-fioletowo-czerwonej na obu pośladkach, a także mocnego zaczerwienienia ucha prawego z zasinieniem wewnątrz - wylicza prokurator Izabela Oliver, rzeczniczka toruńskiej prokuratury.

Sąd babci wnuczki nie powierzył

To opiekunka następnego dnia (19 października ub.r.) stanęła na wysokości zadania. - Widząc obrażenia u dziecka, wymusiła na Agnieszce W. udanie się z nim do szpitala dziecięcego na Skarpie, szantażując wręcz, że jeśli tego nie uczyni, to wezwie policję. Dzięki temu dziewczynka otrzymała pomoc medyczną.

To lecznica zawiadomiła o podejrzeniu pobicia i znęcania się nad dziewczynką organy ścigania - relacjonowała nam prokurator rejonowa Joanna Becińska.

W szpitalu Wiktoria przebywała dłużej, niż było to konieczne, ze względu na jej stan zdrowia. Mogłaby już zostać wypisana, ale nie miała dokąd wrócić. A konkretnie: liczono, że sąd wskaże rodzinę zastępczą dla malutkiej dziewczynki i nie trafi ona do instytucjonalnej placówki opiekuńczej. Tak się jednak nie stało.

- Wiktoria nadal przebywa w Rodzinnym Domu Dziecka (niespokrewnionym). To ta sama placówka, do której dziewczynka trafiła od razu w ramach zabezpieczenia, po wypisie ze szpitala - informuje prokurator Becińska.

Umieszczenie na dłużej w tym miejscu dziewczynki to wynik decyzji sądu rodzinnego w Toruniu. 20 kwietnia br. rozstrzygnął o losach dziecka. Po pierwsze, pozbawił władzy rodzicielskiej jej rodziców - Agnieszkę W. i Dawida A. Po drugie, umieścił we wspomnianym RDD.

Starania babci Wiktorii - matki jej ojca - o to, by wnuczka trafiła do niej jako rodziny zastępczej, trwały od samego początku. Spełzły na niczym. - Sąd nie uwzględnił tego wniosku - przekazuje nam prokurator.

3 lata kontra uniewinnienie

Prokuratura oskarżyła Agnieszkę W. nie tylko o jednorazowe pobicie córeczki, ale też znęcania się nad nią przed krytyczną nocą. Następować miało ono głównie przez zaniedbywanie podstawowych potrzeb dziecka, o czym zeznali śledczym świadkowie.

20 października br., jak piszemy na wstępie, Sąd Rejonowy w Toruniu ogłosił wyrok. Złagodził kwalifikację prawną czynu: znęcanie wykluczył, a uznał Agnieszkę W. za winną spowodowania uszczerbku na zdrowiu córki i naruszenia jej nietykalności. Do tego jeszcze - udzielania marihuany.

Kara łączna dla młodej matki to 8 miesięcy bezwzględnego więzienia i 1 000 zł wpłaty na Fundusz Sprawiedliwości. Sąd orzekł też zakaz zbliżania się na odległość mniejszą niż 100 metrów oraz kontaktowania się (z wyłączeniem kontaktów ustanowionych przez sąd w innych postępowaniach) na okres 8 lat oraz kwotę 5 000 zł tytułem częściowego zadośćuczynienia za doznaną krzywdę na rzecz córki.

Wyrok jest nieprawomocny i już wiadomo, że najprawdopodobniej będą apelacje. I to obu stron! Ich żądania bowiem były i są krajnie różne, czego dowodem były ostateczne wnioski wygłoszone podczas mów kończących proces.

- Prokuratura wnosiła o wymierzenie kary łącznej 3 lat i 8 miesięcy pozbawienia wolności. Natomiast oskarżona i jej obrońca - adwokat Ewa Kumin-Orzechowska, wnosiły o uniewinnienie od pierwszego czynu (znęcanie się i uszkodzenie dziecka - red.) i łagodny wymiar kary odnośnie drugiego czynu - przekazuje „Nowościom" sędzia Jędrzej Czerwiński, prezes Sądu Rejonowego w Toruniu. Dodając, że obie strony procesowe wniosły o wydanie uzasadnienia wyroku na piśmie. A to, jak wiadomo, zazwyczaj jest zapowiedzią planowanej apelacji.

Czy i ile lat zatem Agnieszka W. przesiedzi za kratami, dopiero się okaże. Jej losy rozstrzygną się najprawdopodobniej dopiero w drugiej instancji, w Sądzie Okręgowym.

Młodzi rodzice i ich dzieci. Skala przemocy w Polsce przeraża

Przypadków znęcania się nad dziećmi przez rodziców, w tym przez młode matki, przybywa. W kraju doniesienia o podobnych dramatach pojawiają się regularnie. Minionej zimy PAP informował: „11-miesięczna dziewczynka została przyjęta do Dolnośląskiego Szpitala Specjalistycznego im. T. Marciniaka we Wrocławiu w sobotę. Przywiozła ją jej 20-letnia matka, mieszkanka powiatu dzierżoniowskiego. Lekarzy zaniepokoiły obrażenia na ciele dziecka i powiadomili policję. Kobieta i jej 27-letni konkubent, który nie jest ojcem dziecka, zostali zatrzymani".

Nieco później wyrok usłyszała 19-letnia zaledwie matka Julia W. z Radzynia Chełmińskiego w Kujawsko-Pomorskiem. Za znęcanie się nad synkiem skazana została na rok pozbawienia wolności w zawieszeniu na 5 lat próby (to okres maksymalny), dozór kuratora, zobowiązanie do podjęcia pracy zarobkowej oraz zakaz jakiegokolwiek kontaktowania się i zbliżania do syna Brajana na okres 5 lat. Zaniedbywała go i biła praktycznie od urodzenia.

To tylko promil zjawiska. Z policyjnych statystyk wynika, że w Polsce wręcz lawinowo rośnie liczba małoletnich, u których występuje prawdopodobieństwo, że są ofiarami przemocy domowej. W 2022 roku było ich 10 982, rok później - 17 039, a w 2024 roku aż 25 723; to właśnie w tym roku weszła w życie „Ustawa Kamilka (luty 2024).

Wzrost liczby zgłoszeń niepokoi, ale - paradoksalnie - świadczy też o lepszym funkcjonowaniu systemu ochrony dzieci, choć nadal istnieje tzw. ciemna liczba. Częściej reagują też szkoły, służba zdrowia, pracownicy socjalni.



FOT.COLAGE POLSKA PRESS

Otoczenie jest coraz bardziej wrażliwe na płacz dziecka za ścianą, klapsy wymierzane na ulicy, siniaki

eprasa.pl 01d57292a7

POSTACIE NASZEGO MIASTA



FOT. KRZYSZTOF KAPICA

Pan Stanisław Bielański: Zegarmistrzowie chyba najbardziej zdają sobie sprawę z tego, jak czas upływa. Czas jest ulotną częścią naszego życia. Jest bezcenny, dlatego należy go dobrze wykorzystać

Zegar nie może kuleć

Mały zegarmistrzowski zakład w centrum Rzeszowa wypełniają „tik, tak" starych zegarów i niezwykłe opowieści pana Stanisława Bielańskiego. W zawodzie pracuje już 61 lat

Piotr Samolewicz

Stanisław Bielański swoją życiową przygodę z zegarmistrzostwem rozpoczął w wieku 13 lat. O rok wcześniej ukończył szkołę podstawową i nie mógł być przyjęty do zawodowej. Dlatego w 1964 roku poszedł do zegarmistrza Jana Konkela na przyuczenie do zawodu. Jego zakład mieścił się przy ul. Mickiewicza 1. W następnym roku mistrz zawarł umowę z młodym Stanisławem w Cechu Rzemiosł Różnych.

„Staszku, jak ty ze mną wytrzymałeś?"

– Uczeń miał za zadanie przyjść wcześnie rano, przed siódmą. Mistrz w tym czasie modlił się w kościele. Należało posprzątać zakład, przynieść wodę i napalić w piecu – wraca do tamtych czasów Stanisław Bielański. Mieszkał wówczas na Przybyszówce, budził się przed szóstą i na piechotę szedł do pracy.

Młody Stanisław pracował od godziny 7 do 17. Zapragnął dalej się kształcić i poszedł do szkoły zawodowej dla pracujących, czym bardzo zdenerwował mistrza. – Wściekł się. Idź do domu, nie przychodź już do mnie! – krzyczał, aż w mojej sprawie interweniował dyrektor szkoły, który tłumaczył mistrzowi, że jako 16-latek nie mogę tak dużo pracować.

Umówił się z mistrzem, że przed szkołą, do godziny 8, będzie sprzątał zakład, a po nauce będzie wracał do pracy. Gdy zdał egzamin na czeladnika usłyszał od mistrza: „Staszku, jak ty ze mną wytrzymałeś?".

Mistrz kilka lat spędził w obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie. Przesiąkł tam obozowym rygorem. – Sprawdzał psychikę swoich uczniów, czy nadają się na zegarmistrza. Kilku uczniów przyszło po mnie, ale odeszli, bo nie wytrzymali presji. Może jego surowość wyszła mi na dobre? Zabierał mnie po pracy i odwoził motorem do domu, na dawną Przybyszówkę, bym nie chodził z kolegami po mieście, na rynek. Wysadzał przed domem i mówił: „Tylko nie wracaj do miasta". Pilnował, żebym nie zszedł na złą drogę.

Jako uczeń naprawiał m.in. stojące zegary znanych rzeszowskich lekarzy. – Taki zegar należało zanieść do doktora. Dobrze ustawić, by równo wychylało się wahadło, by równo było słychać „tik, tak". Czas musi być jednakowo odmierzany, jak w muzyce. Zegar nie może kuleć. Gdy jakiś zegar zepsuł się, to mistrz mnie wysyłał, bym najpierw zobaczył, co się z nim stało. Teraz jeździmy do klienta.

Rada Mieczysława Fogga

Po czterech latach Stanisław rozstał się z mistrzem. Pracował dwa lata u jubilera na ul. Żeromskiego, kilka lat był kierownikiem zakładu zegarmistrzowskiego przy salonie jubilerskim na ul. 3 Maja. Dyrekcja w Krakowie zgodziła się, by podjął zaocznie naukę w technikum ekonomicznym. W 1977 r. skończył szkołę z wyróżnieniem. Na studia już nie poszedł, bo powiększyła mu się rodzina.

– Gdy pracowałem na dawnej ul. Tkaczowa [obecna Sokoła – ps], przyszedł do mnie Mieczysław Fogg. Przyjechał do Rzeszowa z zespołem Baby Jagi. Spadł mu sekundnik. Poprawiłem go. Chciał mi zapłacić, ale nie przyjąłem pieniędzy. „Moja mama lubi pana utwory". Wyjął 10 złotych i powiedział do mnie, bym się szanował, bo to jest mój czas i wiedza.

W Jubilerze przy ul. 3 Maja prowadził serwis zegarków radzieckich i szwajcarskich. Wyjeżdżał na szkolenia do Szwajcarii i do byłego ZSRR. Wizyta w fabrykach marek Longines i Certina w Szwajcarii była szczególna. – Przeżyliśmy szok. Panowała w nich niesamowita czystość. Chodziliśmy w fartuszkach i w osłonach na butach, jak w szpitalu. Każdy kosz na śmieci miał wymienialny worek. Pokazywali nam, jak rozbierać zegarki, bo weszły wtedy nowe modele Longinesa i Certiny. Byłem zachwycony.

Potem pracował w zakładzie Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Handlu Wewnętrznego, następnie na osiedlu Pułaskiego. W 1981 roku przeszedł do spółdzielczości pracy i pracował na ul. Grunwaldzkiej 1. W lokalu przy ul. Grunwaldzkiej 7 naprawia z kolegą zegarki od 25 lat. – Dzięki stwórcy – podkreśla.

Tajemnica zegarka

Zawód zegarmistrza jest ciężki. Pracuje się, siedząc w jednej wymuszonej pozycji po kilka godzin, co negatywnie wpływa na kręgosłup.

– Gdy prostuję włos, nie wolno wstawać z krzesła nawet dwie godziny. Wyprostować taki włos jest nie lada sztuką. Nie każdy to potrafi, nawet zegarmistrzowie, którzy zamiast go prostować, wymieniają na nowy. Włos ma 15 cm, trzeba go równo zwinąć w krążek. Nauczyłem mnie tego mistrz. Nieraz wydawało mi się, że już to potrafię, że go dobrze wyprostowałem, a mistrz pincetą rozciągał włos i kazał mi jeszcze raz prostować.

Włos układa się spiralnie, trzeba go wyrównać w poziomie i odległości między nim. Jest w każdym mechanicznym zegarku, osobistym i budziku. Jest to bardzo cienka, elastyczna sprężynka (dziś robiona ze stopów metali lub krzemu), która współpracuje z kołem balansowym jako układ regulacyjny. Włos jest przymocowany wewnętrznym końcem do ośki (wałka) koła balansu, a zewnętrznym do korpusu mechanizmu. Kiedy koło balansowe wychyla się w jedną stronę, włos zwija się lub rozwija, gromadząc energię, a następnie sprężynuje z powrotem.

– Trzeba mieć dużo cierpliwości, zdolności manualne i czucie w palcach. Te kółeczka – pan Stanisław pokazuje serce budzika, który naprawia – mają bardzo cienkie końcówki. Łatwo je złamać.

Zegarmistrz przypomina medytującego zakonnika. Siedzi prawie w bezruchu. Wykonuje misterną naprawę, której nikt nie może zakłócić. Odmawia swoją modlitwą na cześć ludzkiej pracy i ludzkiego geniuszu, który wymyślił precyzyjny mechanizm do odmierzania czasu. – A wie pan, że wiele książek o zegarach napisali właśnie mnisi? – zauważa pan Stanisław.

Rewolucja cyfrowa zrobiła swoje. Ludzie zaczęli zastępować mechaniczne zegarki telefonami komórkowymi, smartwatchami, elektronicznymi. Technologia na jakiś czas ograniczyła liczbę klientów. Teraz zegarki mechaniczne wracają do mody, coraz więcej produkuje się ich na świecie. Ludzie chętnie je kupują, bo one żyją.

Pan Stanisław nie waha się powiedzieć, że mają duszę. – Przychodzą do nas często starsze panie. Przynoszą do naprawy głośno chodzące budziki. Gdy one chodzą, to słyszą, jakby ktoś był w ich domu. I życzą sobie ich naprawy, by było słychać takie „ciach, ciach". Gdy się naprawia zegarek, to chodzi o jego duszę.

Młodzi ludzie przynoszą zegarki wygrzebane z szuflad babć i dziadków. Traktują je jak najcenniejszą pamiątkę. Przynoszą nawet stuletnie kieszonkowe, na łańcuszkach. – Nieraz młody człowiek mówi, że jako dziecko zachodził do nas z tatą. Rodzą się wtedy miłe wspomnienia.

Mechanizmy zegarków ręcznych tworzą wielki kosmos. W latach 70. w Polsce było kilkanaście modeli zegarków, radzieckich i szwajcarskich. Teraz jest ich około 200. Prawie każdy różni się zamkniętą w kopercie mechaniką. – Gdy rozkładam nieznany sobie zegarek, to robię zdjęcie poszczególnych elementów, by zapamiętać jego budowę, by nie siedzieć godzinami nad jego złożeniem.

Cały czas ma dużo pracy. – Ludzie przywożą z zagranicy zegarki, do których nie ma części. W Danii czy Norwegii nie ma zegarmistrzów i Polacy, którzy tam pracują, przywożą je do nas. Także polskie firmy sprowadzają takie zegarki.

Najdroższy zegarek, jak naprawiał, kosztował 100 tys. zł. Bardzo wysokiej klasy szwajcarski zegarek na złotej bransolecie. Należał do klienta z Ukrainy. – 20 lata temu. Podczas naprawy towarzyszył mi trochę strach, żeby na tarczy nie zostawić jakiegoś śladu, odcisku palca – opowiada.

W zakładzie przy ul. Grunwaldzkiej słychać dyskretną melodię starych, wiszących zegarów, przywiezionych ze świata. Inne śmiertelnie milczą. Czekają na swój czas, gdy pan Stanisław zaopiekuje się nimi. Dorobi albo kupi brakującą część na giełdzie staroci i je ożywi.

Pan Stanisław nigdy nie żałował, że wybrał ten zawód. Pracuje w nim już 61 lat. Pytam się, czym jest dla niego czas. – Jest bezcenny, należy go dobrze wykorzystać. Wiem, ile sekunda trwa, ile minuta, ile godzina. Gdy pracuję nad zegarem, widzę, jak kotwiczka przepuszcza koło minutowe po jednym ząbku. Często reguluję zegarki, ich główne balanse czasu przyspieszam dwie,trzy minuty albo cofam. Od siły tego włosa – pan Stanisław pokazuje mechanizm – zależy, czy zegarek chodzi punktualnie. Zegarmistrzowie chyba najbardziej zdają sobie z tego sprawę, jak czas upływa.

Sam na ręku nosi elektroniczny zegarek, by – według niego – dobrze regulować te mechaniczne.

©℗

eprasa.pl 01d57292a7

HISTORIA

Strzelił pierwszego gola w piłkarskiej lidze. Paweł Gumowski, as TKS Toruń

W 2027 roku minie 100 lat od pierwszej bramki zdobytej w meczu piłkarskiej polskiej ligi. Historyczny gol został strzelony w Toruniu przez Pawła Gumowskiego. Maciej Neumann i Marcin Rygielski odkryli nieznane fakty z biografii piłkarza

Daniel Ludwiński

Historia polskiego futbolu skrywa fascynujące karty, a akurat ta opowieść jest na wskroś toruńska - zarówno z czysto sportowego, jak i ludzkiego punktu widzenia.

O tym że Paweł Gumowski z TKS Toruń jest autorem pierwszego gola w historycznym pierwszym sezonie polskiej ligi w 1927 roku, wiadomo już od dłuższego czasu - bramka padła w meczu TKS-u z Polonią Warszawa granym na stadionie na Bydgoskim Przedmieściu, po wojnie doskonale znanym jako stadion żużlowy. 3 kwietnia 1927 roku Torunianie wygrali z Polonią 4:3, a Gumowski zdobył bramkę już w 6. minucie.

W tym samym czasie toczyło się spotkanie w Łodzi, ale tam na pierwszego gola trzeba było poczekać pół godziny dłużej.

Gazety pisały

Informacje o meczu podawała prasa z epoki, natomiast o samym Gumowskim dostępne były tylko strzępki informacji - aż do teraz.

W najnowszym numerze zajmującego się historią futbolu internetowego pisma „Korner", biuletynu Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Historyków i Statystyków Piłki Nożnej, Maciej Neumann i Marcin Rygielski opublikowali wyniki swoich poszukiwań i badań nad postacią Gumowskiego. Efekt jest arcyciekawy, zaczynając już od tego, że zagadką jest nawet... pisownia nazwiska zawodnika.

- Dotychczas publikowano biogramy, w których znana była właściwie tylko data urodzenia, wymieniano kluby, w których grał, gdzie też nie wszystko się do końca zgadzało, może poza jego meczami zagranymi na najwyższym poziomie ligowym, czyli w TKS-ie i w Polonii Warszawa, bo to akurat jest dość nieźle opracowane. Natomiast reszta informacji była szczątkowa, a momentami nawet błędna, jak chociażby informacja o śmierci w latach 60. - mówi Maciej Neumann.

Maciej Neumann i Marcin Rygielski dotarli m.in. do rodziny Pawła Gumowskiego - okazało się, że jego najmłodsza córka zmarła dopiero kilka miesięcy temu, w 2026 roku.

- Wiedzieliśmy wcześniej tylko, że po 1941 roku wyjechał do Niemiec, żył w Rostocku i tam zmarł w latach 60. Najpierw Marcinowi, a później mnie, udało się jednak skontaktować z Archiwum Miejskim w Rostocku, a także z zarządem tamtejszego cmentarza. Obie te instytucje były nam bardzo pomocne. Napisałem do nich jako pracownik naukowy Książnicy Kopernikańskiej, więc podejrzewam, że dlatego potraktowali mnie życzliwiej niż np. dziennikarza TVP, który kiedyś też próbował się z nimi kontaktować. Udało się dostać akt zgonu Gumowskiego - okazało się, że zmarł dopiero w 1978 roku. Dostałem też informacje o jego żonie, dzieciach. To wszystko udało się uzupełnić kwerendą archiwalną wykonaną w księgach stanu cywilnego w Toruniu - zajął się tym Marcin, który jest dobry w tego typu genealogicznych tematach. Odszukaliśmy rodzeństwo Pawła, ich małżonków, dzieci. Okazało się, że w dotychczasowych biogramach nie zgadzała się nawet liczba braci - podawano, że był rzekomy brat Ludwik, a w ogóle takiego nie było, z kolei Henryk, który miał być piłkarzem, w rzeczywistości zmarł jako kilkumiesięczne dziecko - opowiada o poszukiwaniach Neumann.

Gumowski czy Gomowski?

Rozmaite opracowania podają, że autor pierwszego gola w historii polskiej ligi nazywał się Gumowski. Na grobowcu w Rostocku widnieje tymczasem nazwisko Gomowski i ono też powtarza się we wszelkiego rodzaju dokumentach z czasów jego życia, w tym przedwojennych z Torunia, dotyczących zarówno jego, jak i rodziny. Przyszły piłkarz urodził się w 1901 roku i dorastał oraz żył w mieście zarówno polsko- jak i niemieckojęzycznym.

Dotychczas publikowano szczątkowe biogramy Gumowskiego: data urodzin, kluby, w których grał - tu też sporo jest błędów - i... do tego nieprawdziwa data śmierci

MACIEJ NEUMANN



FOT. ARCHIWUM

Zdjęcie Pawła Gumowskiego z jego toruńskich czasów

Tu, na Pomorzu, tak jak na Śląsku kwestie narodowościowe były momentami dość skomplikowane. Żeby naprawdę określić czyjeś poczucie przynależności narodowej, trzeba by tę osobę zapytać. W przypadku Gumowskiego możemy spróbować coś ustalić tylko na podstawie poszlak.

Przed 1920 roku, czyli zanim tutaj nastała Polska, Gumowscy byli rodziną niemiecką - dwóch braci było powołanych do niemieckiej armii, walczyło w czasie I wojny światowej, jeden z nich wtedy zaginął. Wszyscy płynnie mówili po niemiecku, nawet forma nazwiska Gomowski, której tak naprawdę używali na co dzień, też może o tym świadczyć. Jest masa dokumentów, na których Paweł i jego bracia są zapisani jako Gomowscy, tak samo widnieją w międzywojennych księgach adresowych, tak też sami się podpisywali. Równolegle w prasie funkcjonowała wersja przez „u", z którą Paweł jednak nie walczył - nie było sprostowań, że w relacji z meczu podano, że grał Gumowski.

A wracając do Niemiec - w 1920 roku jeden ze starszych braci Pawła wybrał opcję niemiecką i wyjechał z Torunia. Paweł zdecydował się pozostać w Polsce. Początkowo uczył w niemieckiej szkole podstawowej, bo była taka w Toruniu, a gdy została zamknięta, to przeszedł do polskiego szkolnictwa i po polsku uczył polskie dzieci jako polski nauczyciel. Oznacza to, że musiał mieć jakąś identyfikację z Polską. Grał też w polskim klubie, jakim był TKS Toruń, dla polskich kibiców, chociaż w Grudziądzu i w Bydgoszczy były także kluby niemieckie, w których teoretycznie mógłby zagrać. Z drugiej jednak strony w 1939 roku gładko stał się Niemcem, uczył w niemieckich szkołach, a potem w czasie wojny, już po 1941 roku, wyjechał do Rostocku.

- Dlaczego w tym konkretnie momencie, czy coś go do tego zmusiło? Jego dwaj bracia, Franciszek i Adolf, w lutym 1945 roku zostali potraktowani przez Rosjan jako Niemcy i wywiezieni z Torunia na Syberię, przy czym Adolf prawdopodobnie próbował ucieczki i podczas tej ucieczki został zastrzelony. Franciszek wrócił do Torunia, ale wcześniej jego żona i dzieci wyjechały do Niemiec i stamtąd wyemigrowały do USA.

Po powrocie Franciszek miał proces przed sądem karnym, bo był oskarżany o podpisanie niemieckiej listy narodowościowej i o przynależność do SA. Z tego zarzutu go uniewinniono - nie udało się znaleźć żadnych dokumentów ani żadnego świadka, który by potwierdził, że rzeczywiście do tego SA mógł należeć. Wielu świadków, co ciekawe też świadków oskarżenia, nie tylko obrony, broniło natomiast Franciszka i mówiło, że choć w czasie II wojny światowej był nauczycielem niemieckim, to jednak z Polakami rozmawiał po polsku, pomagał im, był im chętny i uczynny - przybliża historię piłkarza i jego rodziny Maciej Neumann.

Właśnie szkolna karta Pawła Gumowskiego (pozostańmy przy tej formie nazwiska, bo się najbardziej przyjęła) pozwoliła odnaleźć w toruńskim archiwum najwięcej danych: w 20-leciu międzywojennym uczył w szkole przy Jęczmiennej; był nauczycielem śpiewu i „ćwiczeń cielesnych", czyli odpowiednika dzisiejszego wychowania fizycznego.

Rodzina w Niemczech

A co udało się ustalić w Rostocku? W ostatnich tygodniach Maciej Neumann i Marcin Rygielski znaleźli w internetowym serwisie rostockiej gazety nekrolog informujący o śmierci Eleonory Weidler, z domu Gomowski, której pogrzeb odbył się we wrześniu. Okazało się, że była to najmłodsza córka piłkarza, urodzona już po jego wyjeździe z Torunia.

- Napisałem do tej gazety, to taki ich odpowiednik „Nowości". Spytałem, czy mogą przekazać mój list osobie, która umieściła na ich łamach nekrolog. Ku mojemu zaskoczeniu po kilku dniach odezwał się pan Robert, który napisał, że jest synem Eleonory i wnukiem Pawła. Dziadka pamięta słabo, bo ten zmarł, gdy Robert był dzieckiem. Wiedział, że dziadek przed wojną grał w piłkę, ale nie miał pojęcia, że jest historyczną postacią i strzelcem pierwszego gola w polskiej lidze. Wnuk mieszka już poza Rostockiem, w Erfurcie - wyjaśnia Marcin Rygielski.

Historyczny gol padł w barwach TKS Toruń, ale wcześniej Gumowski bronił barw innych miejskich drużyn - SC Vistula, VfB, Czarnych, Sokoła, a na koniec lat 20. trafił do warszawskiej Polonii. Do Torunia wrócił jeszcze do Toruńskiego Klubu Lawn-Tenisowego, by w latach 30. zająć się pracą trenerską w Gryfie i później KS ZS Strzelec. W 1935 roku wrócił na boisko najwyższej klasy rozgrywkowej, ale jako... sędzia - poprowadził mecz Warta Poznań - Warszawianka.

- Poszukiwania, które prowadziliśmy z Marcinem, zrobiły według mnie kolosalny krok naprzód, jeśli chodzi o tę postać. Traktowałem szukanie śladów Gumowskiego nie tylko jako poszukiwanie piłkarza, ale też człowieka. To ciekawa historia postaci z epoki, w której po prostu wszystko się narodowościowo przenikało. Dla innych historyków piłki nożnej to piłkarz, który strzelił historyczną bramkę, a dla mnie to ktoś, kto jest związany z Toruniem i kto jest częścią naszej lokalnej historii. Co ważne, cały czas pozostaje uchylona furtka do dalszych badań. Może po wojnie Gumowski pracował w Rostocku jako trener? Może rodzina ma jakieś dalsze dokumenty, powojenne zdjęcia, wspomnienia? - kończy Maciej Neumann.

100. rocznica pierwszej ligowej bramki, którą zdobył Paweł Gumowski, minie 3 kwietnia przyszłego roku.

Do tematu będziemy wracali - rocznica ma być bowiem w Toruniu odpowiednio upamiętniona.

eprasa.pl 01d57292a7

ARCHEOLOGIA

Grobowiec Tutanchamona jako niewyczerpane źródło sensacji

4 listopada 1922 roku w Dolinie Królów w Egipcie dwaj brytyjscy egiptolodzy – Howard Carter i lord George Carnarvon – odkryli najsłynniejszy grobowiec w historii archeologii

Mariusz Grabowski

Był to jedyny w Dolinie Królów tak dobrze zachowany, niesplądrowany grobowiec faraona, a odkrycie zapoczątkowało globalną „Tutomanię" oraz na trwałe zmieniło postrzeganie starożytnego Egiptu.



FOT. CC

Grobowiec Tutanchamona został odkryty przez Howarda Cartera i George'a Carnarvona w 1922 roku

W piaskach pustyni

Przedstawmy najpierw bohaterów tego odkrycia. Howard Carter (1874-1939) był wcześniej uczestnikiem wielu ekspedycji archeologicznych. W 1904 roku został mianowany inspektorem Dolnego Egiptu, ale po tajemniczym incydencie z udziałem francuskich turystów zwiedzających Sakkarę w 1905 roku. Londyn zmusił go do dymisji. Od 1908 r. kierował wykopaliskami dla nowego protektora – lorda George'a Carnarvona.

Ten bajecznie bogaty arystokrata jest wart szczególnej uwagi, bo to jego pieniądze i ekscentryczność sprawiły, że do Egiptu wciąż walą miliony turystów. Naprawdę nazywał się George Edward Stanhope Molyneux Herbert (1866-1923), był piątym lordem Carnarvon i wicehrabią Porchester. Najpierw kolekcjonował posiadłości i zbierał antyki, później przerzucił się na szybką jazdę automobilami, ale przede wszystkim kochał wykopaliska i skarby.

Zatrudniwszy Cartera w 1907 r., przez kilkanaście lat przekopali kilometry pustyni w zachodnich Tebach. Odkryli m.in. grobowce Hatszepsut, Totmesa II i Totmesa IV, a także odgruzowali grobowiec Merenptaha. Ale dopiero w 1922 r. natrafili na najbardziej legendarny grobowiec w dziejach archeologii i zabrali się do jego penetracji. Co ciekawe, lord Carnarvon zmarł niespodziewanie w kilka miesięcy po dokonaniu odkrycia, co stało się bezpośrednią przyczyną sensacyjnej legendy o „klątwie Tutanchamona". W dniu śmierci lorda jego pies miał głośno zawyć i zdechnąć, a w całym Kairze wysiadła elektryczność.

Poczytna ówczesna powieściopisarka Marie Corelli, ponoć ulubiona pisarka królowej Wiktorii, opublikowała kilka artykułów, w których nakłamała, że dotarła do starożytnego arabskiego tekstu o treści: „Intruzów zakłócających spokój zmarłych faraonów czeka śmierć z powodu zatrucia truciznami umieszczonymi w grobowcach".

Słabowity faraon

Kim był Tutanchamon? Władcą XVIII dynastii, czyli faraonem władającym Egiptem kilkanaście stuleci przed narodzeniem Chrystusa. Badania jego mumii wykazały, że był wątły, niewysoki, miał zdeformowane ciało i zmagał się z licznymi schorzeniami. Stoi to w jawnej sprzeczności z zachowanymi do naszych czasów posągami, które przedstawiają Tutanchamona jako mężczyznę o klasycznych rysach twarzy, pełnych ustach i po jankesku zarysowanej szczęce.

Tak naprawdę Tutanchamon miał wystające zęby, pucołowate policzki, szerokie, dziewczęce biodra i koślawą stopę – poruszał się o lasce (w jego grobowcu odkryto ich aż 130, z czego wiele miało wyraźne oznaki użytkowania). Chorował też na malarię (jego mumia zawierała pasożyty plasmodium falciparum) i był klasycznym przykładem fatalnych skutków endogamii, czyli kazirodztwa, które znamy z późniejszych dziejów np. Ptolemeuszy oraz Habsburgów. Zmarł w wieku zaledwie 19 lat.

Tutanchamon był schorowany, ale za to jego legenda jest trwalsza od spiżu. W dużej mierze zawdzięczamy ją Kurtowi Wilhelmowi Markowi, czyli Ceramowi (1915-1972), autorowi tomu „Bogowie, groby i uczeni", w której przedstawił historię odkryć archeologicznych oraz sylwetki badaczy zajmujących się starożytnymi cywilizacjami.

Książka stała się światowym bestsellerem, została przetłumaczona na 28 języków, szybko sprzedano 5 milionów jej egzemplarzy. I co najważniejsze: była źródłem wszelkich możliwych legend nie tylko o Tutanchamonie, jego grobowcu, odkrywcach, klątwach, ale także związanych z nimi mitycznych skarbach.

Urzędnicy rzucają kłody

Nim o skarbach, zobaczmy, jak wyglądało samo odkrycie grobowca. Ceram pisze, że Carter i Carnarvon wiedzieli, że są na tropie grobowca, ale wiedzieli o tym także ich rywale. Najgroźniejszy – Amerykanin Theodor Davis (odkrywca grobowca KV55, znanego także jako skrytka amarneńska) – zmarł co prawda już w 1915 r., ale była jeszcze armia innych. Co więcej, musieli oni pokonywać niezliczone problemy, głównie ze strony władz egipskich oraz tamtejszego Departamentu Służby Starożytności.

4 listopada egipscy kopacze natrafili na kamienne stopnie prowadzące w głąb ziemi, a 26 listopada późnym wieczorem badacze własnoręcznie przebili mur prowadzący do komór grobowych, odkrywając niemal nienaruszony grobowiec. To wtedy – pisze Ceram – zostały wypowiedziane dwa najsłynniejsze zdania w historii egiptologii:

„Widzi pan coś? – spytał zniecierpliwiony lord Carnarvon.

Tak, cudowne rzeczy – odparł, niemogący złapać tchu, Carter".

Uprzedzając fakty: obecnie w grobowcu znajduje się tylko mumia faraona. Większość zabytków przeniesiono do Wielkiego Muzeum Egipskiego na płaskowyżu Giza obok piramid. Część jest w Kairze, sporo w Londynie.

Co odkryto pod ziemią?

Carter i Carnarvon musieli być naprawdę zdumieni, badając wyposażenie grobowca. Znaleziono w nim m.in. trzy łoża, posąg i tron – wszystkie wykonane ze szczerego złota. Wśród znalezisk były też cztery pozłacane rydwany, skrzynie grobowe, trzy trumny w kształcie postaci faraona, włożone jedna w drugą, a także złota maska pośmiertna ważąca 10 kilogramów, o długości 54 cm. Łącznie udokumentowano znalezienie ponad 5 tysięcy artefaktów.

Najcenniejszym znaleziskiem była w miarę dobrze zachowana mumia. Znajdowała się w sarkofagu wykonanym z kwarcytu, ale jego pokrywa była granitowa. Według naukowców sarkofag pierwotnie był przeznaczony dla innej osoby, ale po śmierci Tutanchamona zmieniono rzeźbienia. Dziś trudno dociec, dlaczego Carter i Carnarvon po wstępnych oględzinach przyjęli za pewnik, że Tutanchamon musiał paść ofiarą brutalnego morderstwa. Co bardziej zdumiewające, ich hipotezę potwierdzały badania przeprowadzone w latach 60. i 70. XX wieku. Na zdjęciach rentgenowskich czaszki widoczne były odpryski kości, które mogły powstać po silnym uderzeniu w głowę.

Dziś wiemy, że to całkowita nieprawda. Ogłoszone w 2005 r. ustalenia zespołu egipskich uczonych pod kierunkiem dr. Zahiego Hawassa z Najwyższej Rady Starożytności wykluczają, by przyczyną śmierci władcy był uraz głowy. Analiza obrazów uzyskanych dzięki tomografii komputerowej dowodzi, że kawałki kości znajdujące się w jej wnętrzu to rezultat działań balsamistów partaczy, którzy podczas wyciągania mózgu przez nos mogli drutem naruszyć strukturę czaszki.

Klątwa Tutanchamona

Przejdźmy do najbardziej ekscytującego wątku. W tym celu cofnijmy się do śmierci lorda Carnarvona, której pokolenia pisarzy i publicystów nadały tak złowieszczy wydźwięk. Nawet Arthur Conan Doyle, twórca Sherlocka Holmesa, skądinąd maniak teorii spirytystycznych, oficjalnie przyznał, że maczały w tym wydarzeniu siły „nie z tego świata".

Prawda jest banalniejsza: arystokrata nie zmarł dotknięty tchnieniem zza grobu, lecz wskutek zainfekowania ranki na policzku, która powstała kilka miesięcy wcześniej po ukąszeniu komara. Do rany wdała się poważna infekcja bakteryjna (zapewne róża twarzy), która w czasach przed wynalezieniem antybiotyków szybko rozprzestrzeniła się na cały organizm, prowadząc do śmiertelnego zapalenia płuc.

Idźmy dalej: w ciągu ośmiu lat po odkryciu grobowca z klątwą Tutanchamona powiązano śmierć około 20 osób. Pojawiały się domysły, że może to być spisek lub efekt działania ukrytych w grobowcu bakcyli, ale ich nie potwierdzono. Choć Carter wielokrotnie ogłaszał, że grobowiec Tutanchamona nie zawierał żadnych niebezpiecznych bakterii i że nad wejściem do grobowca nie było też żadnej inskrypcji z klątwą, legenda miała się świetnie przez dekady.

Z najnowszych badań naukowych wynika, że członkowie ekipy odkrywców grobowca Tutanchamona żyli średnio po 70 lat. Sam Howard Carter zmarł dopiero 17 lat po otwarciu komory grobowej. Pamiętajmy o tym, studiując Ceramowskich „Bogów i uczonych". Bowiem pomijając sensacyjne scenariusze, to niewyczerpana kopalnia wiedzy na temat egiptologii.

eprasa.pl 01d57292a7

POD PARAGRAFEM

• Zbliża się rocznica śmierci **Iry Marvina Levina** (ur. 27 sierpnia 1929 r., zm. 12 listopada 2007 r.) – amerykańskiego pisarza, autora sztuk teatralnych i tekstów piosenek. Najbardziej znaną powieścią Levina jest „Dziecko Rosemary" – horror o satanizmie i okultyzmie.

HISTORIA

Jurij Breżniew: niedoszła ofiara sekspułapki w czasach zimnej wojny

Bożenna Piskała

Brytyjski wywiad chciał w latach 70. wciągnąć w miłosną pułapkę syna radzieckiego przywódcy Leonida Breżniewa. Plan spalił jednak na panewce przez zdradę szwedzkiego agenta.

Historie szpiegowskie z czasów zimnej wojny i rywalizacji agentów z bloku wschodniego z zachodnimi zazwyczaj pełne są barwnych opowieści o niesamowitych akcjach, gadżetach rodem z powieści o Jamesie Bondzie czy uwodzicielskich agentek. Czasami te opowieści bliskie są prawdy. Tak było w latach 70. w przypadku Jurija Breżniewa, syna radzieckiego przywódcy, na którego w Sztokholmie pułapkę zastawiły służby Jej Królewskiej Mości.



Jurij Leonidowicz Breżniew był od 1960 roku pracownikiem Ministerstwa Handlu Zagranicznego ZSRR, a w latach 1976-1979 zastępcą ministra ds. handlu

Ponętna Ann już czeka

Brytyjski wywiad chciał użyć jednej ze swoich najlepszych agentek do uwiedzenia syna Leonida Breżniewa. Młodzieńca miano zaprosić na przyjęcie z przygotowanym noclegiem. Tak przynajmniej wynika z lektury wspomnień byłego szefa szwedzkiej policji bezpieczeństwa SAPO Olofa Franstedta, zatytułowanych „Spionjagaren" („Łowca szpiegów"). Franstedt piastował swoje stanowisko w latach 1966-1978.

Akcja miała się odbyć w Sztokholmie, gdzie akurat przebywał Jurij Breżniew. Brytyjska MI6 chciała wykorzystać jedną ze swoich najbardziej atrakcyjnych i zdolnych agentek. W książce występuje ona tylko jako Ann. SAPO zgodziło się na zorganizowanie seksualnej pułapki wymyślonej przez Londyn. Uznało, że nagranie jedynego syna radzieckiego przywódcy w kompromitującej dlań sytuacji dałoby szwedzkim tajnym służbom materiał do szantażu w celu uzyskiwania informacji. A nawet wykonywania przez młodego Breżniewa innych usług w grze wywiadów podczas zimnej wojny.

Ann nie dostała jednak szansy, by użyć swoich – jak dotąd całkowicie przekonujących – wdzięków do uwiedzenia latorośli radzieckiego przywódcy. Pewien podwójny szwedzki agent w porę ostrzegł Moskwę. „Nawet dziś, zawsze jak tylko o tym myślę, czuję wściekłość" – pisze Franstedt w swoich wspomnieniach.

Wszechobecny seks

Szwedzcy i brytyjscy pracownicy wywiadu wpadli na ten pomysł już w chwili, gdy na początku lat 70. młody Breżniew przyjechał na placówkę do Sztokholmu. Miał pracować w tutejszej radzieckiej misji handlowej. Dla tego typu akcji służb specjalnych okazja wydawała się doskonała.

W szczytowym okresie zimnej wojny w szwedzkiej stolicy panowała uprawiana za zamkniętymi drzwiami filozofia hedonizmu. Tutejsza śmietanka słynęła z tego, że często organizowała przyjęcia z nocowaniem. Niektóre z nich co jakiś czas podsłuchiwali ludzie SAPO. Plan zakładał wykorzystanie, oprócz Ann, kilku atrakcyjnych agentek. Miały one ściągnąć Jurija Breżniewa i dwóch innych Rosjan na przyjęcie organizowane w jednym z apartamentów w zamieszkanej przez bogatych Szwedów sztokholmskiej dzielnicy Östermalm.

„Zarówno Szwedzi, jak i inni mieszkańcy Zachodu podejrzliwie podchodzili do zaproszeń na uprawianie seksu. Sądziliśmy, że podobnie jest w przypadku Rosjan" – pisze Franstedt. Kluczem do powodzenia akcji był właśnie udział Ann – jednej z najbardziej wybitnych w tej dziedzinie agentek.

Mamy przeciek

Wszystko wydawało się przygotowane i dopięte na ostatni guzik, pozostawało jedynie czekać. Rosjanie jednak po cichu i w tajemniczy sposób opuścili Szwecję, zanim jeszcze mogło do czegokolwiek dojść. Brytyjski wywiad i jego szwedzcy partnerzy byli całkowicie zaskoczeni. Tajemnicę niepowodzenia misji udało się rozwiązać dopiero kilka lat później. Przyczyną był przeciek od radzieckiego agenta ulokowanego w szwedzkiej organizacji wywiadowczej. Szwedzkim zdrajcą okazał się Stig Bergling, pracujący w SAPO w latach 1973-1979. To właśnie on przekazał prowadzącym go radzieckim oficerom informację o „pułapce miłości".

Fakt ten wyszedł na jaw jednak dopiero podczas innego procesu, w którym w 1979 roku skazano go za zdradę państwa. Berglinga udało się namierzyć dzięki informacjom od innego podwójnego agenta (ale pracującego na rzecz Brytyjczyków) Olega Gordijewskiego. To od niego MI6 dowiedziało się, że KGB ma swojego człowieka w szwedzkich służbach i tę informację przekazało w 1976 r. SAPO. Początkowo Szwedzi nie reagowali, a Bergling pracował zgodnie ze zwykłą rutyną. W 1977 r. został skierowany na Bliski Wschód – wysłano go do pracy w agendzie ONZ w Suezie. Dopiero tam odkryto, że utrzymuje kontakty z przedstawicielem sowieckiego GRU (wywiadu) w Jordanii.

Breżniew ministrem

Po powrocie do Moskwy Jurij Breżniew został prawą ręką zastępcy ministra ds. handlu. W znacznie późniejszym okresie w związku z zarzutami o korupcję zmuszono go do odejścia na emeryturę. Tak naprawdę niewiele się o nim mówiło. W przeciwieństwie do swojej siostry Galiny Breżniew, która uwielbiała rozgłos, zabawę i pełnymi garściami czerpała z uroków bycia córką radzieckiego genseka, Jurij raczej trzymał się w cieniu.

Po rozpadzie Związku Radzieckiego dalej odmawiał jakichkolwiek wystąpień publicznych, także wtedy, gdy prosiły go o to władze państwowe. Zmarł w 2013 roku w wieku 80 lat.

Wróćmy jeszcze do Olofa Franstedta, gdyż ten były szef szwedzkich służb specjalnych jest osobą wzbudzającą duże kontrowersje w swej ojczyźnie. Wywołał je publikacjami swoich książek, a także wywiadami prasowymi. Dużo mówi i pisał w nich o swoich relacjach ze szwedzkim premierem Olofem Palmem (obaj musieli ze sobą współpracować na początku premierowania Palmego). Franstedt później bardzo mocno oskarżał go o współpracę z radzieckimi służbami.

„Nie ufałem mu, ponieważ próbował wstrzymać naszą współpracę z CIA i rozpocząć kooperację z KGB. Jeśli szef państwa postępuje w ten sposób, to znaczy, że albo znalazł się w radzieckiej sieci, albo przynajmniej chce wejść w strefę wpływów Związku Radzieckiego" – mówił Franstedt w jednym z wywiadów. I chętnie opisywał, jak wiele osób z bezpośredniego otoczenia Palmego podejrzewa o to, że są zwyczajnie wtyczkami Rosjan w szwedzkim rządzie.

Palme na celowniku

Jego sugestie były bardzo kontrowersyjne, gdyż uderzały w polityka, który odcisnął bardzo silne piętno na polityce Szwecji w latach 70. i 80. Jego dojście do władzy pod koniec lat 60. (Palme był premierem w latach 1969-1976, a potem w latach 1982-1986) było okresem prosperity Szwecji, a jednocześnie czasem silnej zmiany kursu. Palme zaczął realizować bardzo społeczną politykę państwa, uruchamiając na szeroką skalę pomoc społeczną dla najbiedniejszych. Jednocześnie reorientował politykę zagraniczną kraju: krytykował Stany Zjednoczone za wojnę w Wietnamie, ale bardzo ciepło mówił choćby o Fidelu Castro rządzącym na Kubie.

W latach 80. odwiedził NRD, gdzie spotkał się z tamtejszym przywódcą Erichem Honeckerem i wzywał do budowy wzajemnej przyjaźni oraz budowy pokoju na świecie. O Muammarze Kaddafim, przywódcy Libii, mówił jak o swoim przyjacielu. Dążył także do stworzenia „wspólnej strefy bezpieczeństwa" między Europą Zachodnią a Związkiem Radzieckim.

Olof Palme mocno zmienił Szwecję, a kraj najbardziej zmieniła jego śmierć w lutym 1986 roku. Został postrzelony na ulicy w Sztokholmie i nigdy nie udało się ustalić, kto tak naprawdę stał za tym mordem.

eprasa.pl 01d57292a7

Niezbędnik czytelniczy

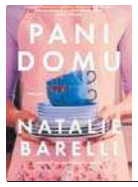
rekomenduje
Bożydar Brakoniecki



Nie zapomnisz tego nigdy...

Podczas jazdy górskimi drogami w trakcie gwałtownej zimowej burzy antropolog sądowy David Hunter zostaje zmuszony do szukania schronienia w odległej wiosce. Jednak nocny postój szybko przeradza się w koszmar po makabrycznym odkryciu dokonanym w głębi pobliskiego lasu.

Simon Beckett, „Ogród kości", wyd. Czarna Owca, Warszawa 2026, cena 49,99 zł



Prawda, która musi wyjść na wierzch...

Jodie po burzliwym romansie poślubia znanego psychologa, dr. Roya Daviesa, i wprowadza się do jego domu w Beverly Hills. Panuje tam pamięć o jego zmarłej żonie, Deborah. Kiedy Jodie dowiaduje się, że przed śmiercią Deborah stała się samotniczką, zaczyna podejrzewać, że to Roy do tego doprowadził.

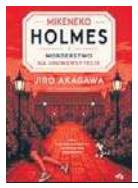
Natalie Barelli, „Pani domu", wyd. Czwarta Strona, Poznań 2026, cena 56,90 zł



Krew w świecie kurtuazji i wyrafinowania

Wysoko w szwajcarskich Alpach, gdzieś pośród ośnieżonych szczytów, stoi Hotel Grand Alpine. Gości z całego świata przyciągają zapierające dech widoki, eleganckie wnętrza i doskonałe warunki do śnieżnego szaleństwa. W świecie pełnym bogactwa, kurtuazji i wyrafinowania kryją się jednak także mroczne instynkty...

Lucy Foley, „Morderstwo w Hotelu Grand Alpine", Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2026, cena 54,90 zł



Co się kryje w college'u Hagoromo?

Detektyw Yoshitarō Katayama boi się wielu rzeczy: wysokości, ciemnych pomieszczeń, krwi oraz... kobiet. Kiedy zamordowana zostaje młoda studentka, Katayama staje przed wyborem: przejrzeć zdjęcia z miejsca zbrodni albo udać się do żeńskiego college'u Hagoromo, by poprowadzić śledztwo. Niechętnie wybiera drugą opcję.

Jirō Akagawa, „Mikeneko Holmes i morderstwo na uniwersytecie", wyd. Relacja, Warszawa 2026, cena 49,90 zł



Witamy, w czym pomóc panie Logan?

Podczas poszukiwań zaginionego turysty górska ekipa ratunkowa nieoczekiwanie odnajduje inne, okaleczone z porażającą precyzją, zwłoki. Jack Logan i jego zespół przyjeżdżają z Inverness, by wyjaśnić zagadkę tej brutalnej egzekucji w gangsterskim stylu. Tymczasem mieszkańcy nabrali wody w usta.

J.D. Kirk, „Krew i zdrada", wyd. Prószyński i S-ka, Warszawa 2026, cena 54,99 zł



Tutaj się znika, tak po prostu znika

Dorastająca w nowozelandzkim buszu Effie sądziła, że rodzice odcięli się od cywilizacji powodowani miłością do natury. Lecz teraz, gdy w miasteczku na odludziu pojawia się łudząco do niej podobna dziewczynka, Effie postanawia wrócić do miejsca z przeszłości, gdzie sekrety jej dzieciństwa wychodzą na światło dzienne.

Zoe rankin, „Tutaj się znika", Wydawnictwo Mięta, Warszawa 2026, cena 54,99 zł

PITAWAL WARSZAWSKI

Opowieść o tym, jak Leon Packiewicz cudem wywinął się od stryczka

stanmajer

W „Kurjerze Warszawskim", datowanym na 4 stycznia 1892/1893 r., znaleźć było można taki oto tekst:



Zachowany częściowo do dziś Fort Śliwickiego (Jasińskiego) był fragmentem Cytadeli zlokalizowanym na warszawskiej Pradze

„Zabójstwo w celu rabunku i kradzież.

W grudniu r.z. drugi wydział karny miejscowego sądu okręgowego pod prezydencją wiceprezesa p. Limanowskiego osądził sprawę Leona Packiewicza, mieszkańca miasta Wielunia, oskarżonego o spełnienie w d. 5-ym lipca r.b. w pobliżu fortu Śliwickiego zabójstwa, połączonego z rabunkiem na osobie robotnika Franciszka Dawida. Oskarżenie popierał podprokurator Delarow, a bronił z urzędu adw. przys. Szteyner.

Z aktu oskarżenia, odczytanego na posiedzeniu, dowiadujemy się, iż 5-go lipca r.b. o godz. 10-ej zrana na łące w pobliżu fortu Śliwickiego spostrzeżono zwłoki człowieka z jawnemi oznakami gwałtownej śmierci. Przy zrewidowaniu trupa nie znaleziono w kieszeniach ubrania jego ani pieniędzy, ani też żadnych dowodów, któreby wskazały pochodzenie denata i dlatego ujawniał się tylko niezbicie sam fakt morderstwa, dokonanego w chęci rabunku.

Wskutek badania świadków, stwierdzono fakt, iż od połowy czerwca r.b. przy budowie koszar na Pradze zaczął pracować niejaki Leon Packiewicz, człowiek podejrzany, kilkakrotnie za różne przestępstwa karany. Według opowieści tych świadków, zabity Dawid był niezmiernie oszczędny, nie używał żadnych trunków, trzymał się zdała od swoich towarzyszów i zebrał kilkadziesiąt rubli, które zawsze przy sobie trzymał, a o czem zresztą doskonale wiedział Packiewicz. Dawid niejednokrotnie uskarżał się na Packiewicza, że pracuje razem z takim »grandusem«, którego trzeba się ztrzedz.

Zeznania te, wspólnie z okrwawionemi chustkami, znalezionemi u osób trzecich, a doręczonych im przez Packiewicza po dokonanej zbrodni, dały powód do uformowania Packiewiczowi sprawy o zabójstwo z premedytacją, t.j. o przestępstwo przewidziane 1353 im art. kod. karn.

Niezależnie od tego, Packiewicz oskarżony był o kradzież, spełnioną w tymże czasie u Filipa Bodymira, do czego zresztą się przyznał, co się zaś tyczy śladów krwi na chustkach, doręczonych przez oskarżonego osobie trzeciej, utrzymywał, iż często miewał krwotoki z nosa.

Wszystkie te i tym podobne okoliczności, lubo rzucały podejrzenie, nie nastręczały przecież wyraźnego dowodu winy oskarżonego co do spełnionego zabójstwa. Sąd okręgowy przeto, wysłuchawszy świadków, których zeznania były bardzo sprzeczne, przemówień prokuratora, tudzież obrońcy, dowodzącego, iż oskarżenie oparte zostało na niezmiernie błahych poszlakach – skazał na zasadzie 1655 art. kod. karn. Leona Packiewicza za kradzież u Bodymira na oddanie do rot aresztanckich na rok jeden, co się tyczy winy zabójstwa w celu rabunku, dla braku dowodów, Packiewicza od odpowiedzialności uwolnił".

OBYCZAJE

Uroki Machajewszczyzny

żar

27 grudnia 1866 roku w Busku urodził się Jan Wacław Machajski, ps. A. Wolski, działacz anarchistyczny, twierdzący m.in., że dla dobra rewolucji proletariackiej wszystkich inteligentów trzeba profilaktycznie wymordować.



Machajski twierdził, że ruchy rewolucyjne są zawłaszczane przez „pracowników umysłowych" dążących do dominacji nad robotnikami

Przypisuje mu się ukucie teorii tzw. Machajewszczyzny – robotniczego ruchu antyinteligenckiego, występującego przeciw szeroko pojętej klasie inteligencji i państwu jako jej wytworu. Prócz tego zasłynął jako krytyk Lenina i komunistów, którzy, według niego, wprowadzili mechanizm władzy niewiele różniący się od carskiego.

Prywatnie był ponoć człowiekiem miłym i oględnym, przyjaźnił się nawet ze Stefanem Żeromskim, który na jego wzór stworzył postać Andrzeja Radka z „Syzyfowych prac". Lecz z uroków marksizmu nie wyzwolił się nigdy. Ale był to marksizm pojmowany dość subiektywnie, o czym zgodnie zaświadczają jego biografiowie z dwóch historycznych epok: Zygmunt Zaremba w „Słowo o Wacławie Machajskim" z 1967 roku i Lech Dubel w „Zapomnianym proroku rewolucji. Szkicu o Janie Wacławie Machajskim" z roku 2009.

W 1917 roku Machajski wyruszył do ogarniętej chaosem Rosji, a po rewolucji październikowej zamieszkał w Moskwie. W napisanym wówczas dziele „Robotnicza rewolucja" napiętnował nawet bolszewików za wprowadzone przez nich roboty przymusowe. I, co więcej, zdobył całkiem sporą grupę wyznawców.

Zaremba pisze, że po zdobyciu władzy przez komunistów Machajski odrzucił proponowaną mu funkcję redaktora w czasopiśmie „Narodnoje choziajstwo", zadowalając się skromną posadą korektora technicznego pisma. Ominęły go komunistyczne śledztwa i sita. Zmarł w ojczyźnie proletariatu 26 lutego 1926 roku na atak serca.

eprasa.pl 01d57292a7

PKO EKSTRAKLASA

Klasyk w Zabrzu rozczarował. Lech powoli odjeżdża rywalom

Kolejorz w ekstraklasie czuje się jak ryba w wodzie i nie zwalnia tempa. A 33-letni Bartosz Nowak z GieKSy nie przestaje pozytywnie zaskakiwać

Jakub Jabłoński



FOT.KARINA TROJOK/POLSKA PRESS

Emocjonujących spięć w podupadającym klasyku nie było za wiele...

W piątek 13. kolejka PKO Ekstraklasy została zainaugurowana dość niemrawo. Motor Lublin pokonał 2:1 i pogrążył zmagającą się z wieloma problemami Cracovię. Tego samego dnia z krakowskim klubem pożegnał się prezes Murat Colak, a kilka dni wcześniej zwolniono dyrektora pionu sportowego Filipa Trubalskiego. W obliczu kolejnych zmian w klubie, a także fatalnej formy na boisku, posada trenera Bartosza Grzelaka zawisła na włosku. O drugiej z rzędu porażce przesądziły gole Plavoticia i Lopesa, którzy odpowiedzieli na trafienie Ajdina Hasicia.

Miał być hit, wyszedł kit

Drugie sobotnie spotkanie zapowiadało się apetycznie, a skończyło się olbrzymim rozczarowaniem. Klasyk Górnika Zabrze z Legią Warszawa jawił się bowiem jako najciekawsze danie zaserwowane kibicom w tej serii gier. Piłkarze zdecydowanie jednak nie dowieźli. Przez całe 90 minut nie oddali ani jednego celnego (!) strzału.

Fajerwerków na murawie próżno było szukać, ale o wyjątkową oprawę spotkania zadbali przed pierwszym gwizdkiem kibice. To właśnie oni rozświetlili niebo nad stadionem efektownym pokazem pirotechnicznym i fajerwerkami.

Poznań znów pełen doznań

W Poznaniu Lech i Wisła Kraków miały coś do udowodnienia. Kolejorz w środę pożegnał się już na etapie 1/16 finału STS Pucharu Polski, przegrywając sensacyjnie na wyjeździe z trzecioligową (czwarty poziom) Siarką Tarnobrzeg 0:1. Natomiast Biała Gwiazda wciąż szuka przełamania na wyjazdach. Beniaminek spisuje się znakomicie u siebie, gdzie wygrał wszystkie sześć meczów, lecz na obcych stadionach nie odniósł żadnego zwycięstwa.

Po sobotnim spotkaniu powody do radości miał Lech. Wszystkie bramki padły między 54. i 64. minutą. Gospodarze prowadzili po trafieniu Antoniego Kozubala, chwilę potem wyrównał głową Jakub Krzyżanowski, ale Patrik Walemark i Yannick Agnero zapewnili obrońcom tytułu trzy punkty. W 81. minucie Angel Rodado nie wykorzystał rzutu karnego. To druga zmarnowanego przez niego jedenastka, poprzedniej nie wykorzystał dwa tygodnie wcześniej z Widzewem.

Wisła Płock, choć przegrywała do przerwy z Piastem Gliwice 0:2, zremisowała u siebie 2:2. Czwartą porażkę z rzędu poniosła natomiast Wieczysta z Jagiellonią Białystok 1:3.

Widzew nadal w kryzysie, druga młodość Nowaka

W ostatnim sobotnim spotkaniu też nie było niespodzianki, GKS Katowice pokonał Widzew 3:2. Wprawdzie gospodarze przystępowali do tego starcia po trzech porażkach z rzędu po 0:1 (w tym dwóch ligowych), ale kiedy się przełamywać, jeśli nie w starciu z pogrążonym w kryzysie sportowym rywalem?

Wszystkie bramki dla Katowiczan, którzy do 70. minuty prowadzili już 3:0, zdobył 33-letni Bartosz Nowak. To jego pierwszy hat-trick w ekstraklasie, choć miał już takie dokonania w Pucharze Polski oraz dwukrotnie w 1. lidze - jeszcze w barwach Stali Mielec.

13. KOLEJKA EKSTRAKLASY

GÓRNIK ZABRZE - LEGIA WARSZAWA 0:0

CRACOVIA KRAKÓW - MOTOR LUBLIN 1:2
Bramki: Hasić 13 - Plavotić 23, Lopes 40

WISŁA PŁOCK - PIAST GLIWICE 2:2
Bramki: Kobacki 46, Sekulski 68 - Katsantonis 24, Leśniak 37

WIECZYSTA KRAKÓW - JAGIELLONIA BIAŁYSTOK 1:3
Bramki: Dujmović 72 - Imaz 8-karny, Prelec 80, Vital 84

LECH POZNAŃ - WISŁA KRAKÓW 3:1
Bramki: Kozubal 54, Walemark 57, Agnero 64 - Krzyżanowski 56

GKS KATOWICE - WIDZEW ŁÓDŹ 3:2
Bramki: Nowak 33, 59, 65 - Kapuadi 70, Świderski 74

TABELA PKO BP EKSTRAKLASA

1. Lech Poznań	12	31	32-11
2. Górnik Zabrze	13	28	21-11
3. Legia Warszawa	13	24	23-11
4. Pogoń Szczecin	11	24	19-9
5. GKS Katowice	13	21	25-19
6. Piast Gliwice	13	21	24-20
7. Wisła Kraków	13	21	20-18
8. KGHM Zagłębie Lubin	12	19	15-15
9. Jagiellonia Białystok	12	18	17-18
10. Korona Kielce	12	18	14-18
11. Motor Lublin	13	16	19-22
12. Wisła Płock	12	15	12-18
13. Cracovia	13	12	15-21
14. Widzew Łódź	13	11	17-19
15. Śląsk Wrocław	12	9	16-22
16. Wieczysta Kraków	13	8	17-26
17. Radomiak	12	8	12-28
18. Raków Częstochowa	12	6	16-28

14. kolejka PKO BP Ekstraklasa:

6 listopada 2026:
Motor Lublin - Wisła Płock (godz. 18.00)
Wisła Kraków - Cracovia (godz. 20.30)

7 listopada 2026:
Korona Kielce - Radomiak (godz. 12.15)
Śląsk Wrocław - Piast Gliwice (godz. 14.45)
Górnik Zabrze - Wieczysta Kraków (godz. 17.30)
Widzew Łódź - Pogoń Szczecin (godz. 20.15)

8 listopada 2026:
Jagiellonia Białystok - GKS Katowice (godz. 14.45)
Legia Warszawa - Raków Częstochowa (godz. 17.30)
Lech Poznań - KGHM Zagłębie Lubin (godz. 20.15)

JEDENASTKA KOLEJKI



NAJLEPSI STRZELCY

9 goli
Jordi Sánchez (Wisła Kraków - 6, Pogoń Szczecin - 3)
8 goli
Ilia Szkurin (GKS Katowice)
7 goli
Bartosz Nowak (GKS Katowice)
6 goli
Ajdin Hasić (Cracovia), Patrik Walemark i Pablo Rodriguez (obaj Lech Poznań), Karol Czubak (Motor Lublin), Patryk Makuch (Raków Częstochowa), Mariusz Stępiński (Korona Kielce)

BOHATER WEEKENDU

Bartosz Nowak
(GKS Katowice)
Jeżeli po takim meczu nie dostanie powołania do reprezentacji Polski, to my naprawdę nie wiemy, co jeszcze lider GKS Katowice musi zrobić, aby zapracować sobie na uznanie w oczach selekcjonera Jana Urbana. Teraz skompletował swojego pierwszego hat-tricka i przyczynił się do pokonania dołującego Widzewa.



FOT. PAP/ART SERVICE

PIŁKA NOŻNA

Lech zmazał plamę po pucharowej wpadce i wyjątkowo nudny klasyk w Zabrzu

Jacek Kmiecik

Z hitów 13. kolejki ekstraklasy nie zawiódł mecz Lecha Poznań z Wisłą Kraków.

Lech pokonał Wisłę 3:1, a trener „Kolejorza" Niels Frederiksen przyznał, że było to najtrudniejsze zwycięstwo jego zespołu w tym sezonie. Lech przystąpili do meczu trzy dni po blamażu w Pucharze Polski z Siarką Tarnobrzeg (1:2). Tłumaczył, że motywacja z jego strony nie była potrzebna.

- Myślę, że czasami rola trenera w takich sytuacjach jest przeceniana. Mamy grupę bardzo ambitnych piłkarzy, którzy nienawidzą przegrywać i czuli ogromną złość po tamtej porażce.

Opiekun „Białej Gwiazdy" Mariusz Jop przyznał, że jego drużyna nie musi się wstydzić swojego występu. Jego zdaniem rozmiary porażki były zbyt wysokie.

Bez celnego strzału z obu stron zakończył się inny hit 13. kolejki ekstraklasy Górnika Zabrze z Legią Warszawa.

- To był typowy mecz na 0:0. Chcieliśmy odbić sobie tę niezasłużoną porażkę z Lechem Poznań. Przyjechaliśmy do Zabrza z nastawieniem wywalczenia trzech punktów. Mecz był trudny, bez sytuacji, z przewagą Górnika - ocenił trener gości Marek Papszun.

Szkoleniowiec Górnika Michal Gasparik zaznaczył, że jego drużynie zależało na zwycięstwie.

- Mecz był bardzo taktyczny, trochę nudny dla kibiców, nikt nie chciał się „otworzyć". Mieliśmy strzał w poprzeczkę i dobrą okazję Erika Prekopa. Nie jesteśmy skuteczni, ale też nie przegrywamy - stwierdził.

Cracovia przegrała na własnym stadionie z Motorem Lublin 1:2, a trener gospodarzy Bartosz Grzelak przyznał, że rozumie frustrację kibiców, po drugiej kolejnej porażce.

- Teraz nie chodzi o to, aby krzyczeć najgłośniej, ale trzeba zachować spokój, należy sprawdzić, co możemy zrobić lepiej. Przed nami ważny tydzień - podkreślił, nawiązując do tego, że w następnej kolejce jego drużynę czekają derby Krakowa z Wisłą.

Trener Motoru Mariusz Misiura podziękował swoim piłkarzom oraz współpracownikom za wyniki uzyskane w październiku. - Rozegraliśmy cztery mecze, w których zdobyliśmy 10 punktów. Czuję dumę z tego, jak punktujemy i jak gramy - podkreślił. Zwrócił też uwagę, że było to czwarte kolejne spotkanie, w którym Motor przechylił szalę na swoją, mimo że rywal obejmował prowadzenie.

eprasa.pl 01d57292a7

PIŁKA NOŻNA

Skorupski przypomniał się selekcjonerowi Urbanowi. Lewandowski z przełamaniem, Szymański na fali

Jacek Kmiecik

Łukasz Skorupski przypomniał o sobie selekcjonerowi reprezentacji Polski Janowi Urbanowi . Polak obronił rzut karny w meczu Bolonia - Monza (2:1) i pomógł swojej drużynie sięgnąć po ważne zwycięstwo.

35-letni golkiper popisał się skuteczną interwencją w 81. minucie po strzale z „jedenastki" Patricka Cutrone. To był bardzo ważny moment meczu - gospodarze prowadzili wówczas właśnie 2:1, więc polski bramkarz ma duży udział w końcowym sukcesie.

Jak napisała agencja ANSA, Cutrone „dał się przechytrzyć Skorupskiemu" i nazwała tę obronę „kluczowym wydarzeniem". Włoskie media zgodnie przyznały Polakowi najwyższe noty. Oficjalnie wybrano go też MVP meczu.

„Skorupski bohaterem przy rzucie karnym" - napisało Calcionews24.com i przyznało mu notę 8.

Większość innych mediów oceniła go na 7,5, w tym słynna „La Gazzetta dello Sport". Tak samo ocenił „Skorupę" „Corriere della Sera". „Odkupienie Skorupskiego, Vitik w najlepszej formie, Pobega błyszczy" - zatytułował relację. „Skorupski pieczętuje wynik, koszmarne wejście Cutrona" - odnotował w tytule do tekstu oceniających zawodników portal Tuttomercatoweb.com, który też przyznał polskiemu bramkarzowi 7,5.

- Po środowym zwycięstwie na San Siro (z Milanem 4:2) ten mecz był trudniejszy, ponieważ stanowił ważny sprawdzian; chcieliśmy ponownie pokazać, na co nas stać, i wygrać przed własną publicznością. Nie czuję się bohaterem z powodu obronionego rzutu karnego - zasługa należy się całemu zespołowi - powiedział skromnie po meczu Skorupski.

Drużyna Skorupskiego wygrała trzeci kolejny mecz i czwarty z ostatnich pięciu. Awansowała na dziewiąte miejsce - 14 punktów. Natomiast Monza, której zawodnikiem jest leczący kontuzję Jan Ziółkowski, po trzeciej porażce z rzędu zajmuje 16. lokatę - 7 pkt.

Sebastian Szymański zdobył bramkę w przegranym 2:5 meczu Rennes w Nicei . Uzyskał gola głową w 16. minucie i było to jego czwarte trafienie w sezonie. W wyjściowym składzie Rennes wystąpił również inny reprezentant Polski Przemysław Frankowski, ale po przerwie nie wyszedł już na boisko.

Uwaga - Robert Lewandowski w końcu się przełamał! Po 8 meczach bez gola w MLS napastnik odblokował się i w wyjazdowym spotkaniu Chicago Fire z Colorado Rapids zapewnił „Strażakom" zwycięstwo 4:2.

RL9 rozpoczął mecz z na ławce rezerwowych i wszedł na boisko dopiero w 63. minucie przy stanie 2:2. 11 minut później po podaniu Duńczyka Philipa Zinckernagela, znalazł się za linią obrony Rapids, minął bramkarza i do siatki kopnął z ostrego kąta. W 88. minucie nasz doświadczony napastnik zaliczył także efektowną asystę.



FOT. ABACA/EASTNEWS

Polski bramkarz Łukasz Skorupski celebruje obronę rzutu karnego w wygranym meczu 10. kolejki Serie A Bolonii z Monzą

BUNDESLIGA. 8. kolejka: Elversberg - Mainz 4:1, Schalke - RB Lipsk 0:2, Werder Brema - Hoffenheim 2:0, Borussia MG- Paderborn 0:0, Augsburg - Freiburg 1:2, Bayer Leverkusen - Stuttgart 2:4, Bayern Monachium - Dortmund 2:2.
LALIGA. 11. kolejka: Villarreal - Espanyol 0:1, Levante - Atletico 0:2, Vallecano - Celta 3:0, Betis- Malaga 2:1, Barcelona - Alaves 6:1.
LIGUE 1. 9. kolejka: OGC Nice - Stade Rennes 5:2, Le Havre - PSG 1:5, LOSC Lille - RC Lens 1:0, Troyes - Le Mans 2:0.
PREMIER LEAGUE. 9. kolejka: Chelsea Londyn - Manchester United 2:0, Manchester City - Brighton & Hove Albion 0:1, Hull City - Ipswich Town 2:2, Coventry City - Sunderland 3:1, Brentford - Nottingham Forest 2:0, Bournemouth - Leeds United 2:0, Tottenham Hotspur - Crystal Palace 2:0, Aston Villa Birmingham - Fulham 1:1.
SERIE A. 10. kolejka: Bologna - Monza 2:1, Udinese - AS Roma 2:5, AC Milan - Inter Mediolan 3:1.

PUCHAR POLSKI

Michał Gębura: W naszej piłce niczego nie można wykluczać. Tyle tylko, że bardzo przykre niespodzianki w Kolejorzu zdarzają się zdecydowanie za często

Rozmawiał Jaromir Kruk

Z Lechem zdobywał mistrzostwo, z Kolejorza trafił do reprezentacji. A Drogę do poznańskiego klubu Michałowi Gęburze otworzyły znakomite występy w Siarce Tarnobrzeg.

Nic zatem dziwnego, że z zaciekawieniem śledził rywalizację zespołów z Tarnobrzega i stolicy Wielkopolski w 1/16 finału STS Pucharu Polski.

Zakładałeś, że może dojść do sensacji w Tarnobrzegu?

Lech chyba zlekceważył Siarkę, bo trudno zrozumieć, co się stało w Tarnobrzegu. Sławek Majak znakomicie przygotował zespół do meczu z mistrzem Polski, który stworzył stosunkowo mało okazji podbramkowych. Po czerwonej kartce Yannicka Agnero szanse Siarki wzrosły, determinacja i konsekwencja gospodarzy zostały nagrodzone. Życzyłbym sobie, aby za tym niesamowitym sukcesem drużyny z Tarnobrzega poszło poważniejsze wsparcie władz miasta i lokalnych sponsorów. Dziś trzecia liga to w Polsce czwarty poziom rozgrywkowy, a za moich czasów - za kadencji Janusza Gałka - zrobiliśmy awans do drugiej ligi, wtedy na drugi szczebel w kraju. I chciałbym, żeby na taki w niedalekiej przyszłości przebiła się Siarka. Jest ładny stadion, niezła infrastruktura, zainteresowanie kibiców, więc pora przekuć sukces z Lechem. Uznanie należy się trenerowi Majakowi, który zmontował ciekawy zespół, choć jak wiadomo ciągle w klubie brakuje pieniędzy. Wygrana z mistrzem kraju powinna pobudzić tarnobrzeską społeczność.



FOT. MARCIN RADZIMOWSKI / POLSKA PRESS

Gębura: Życzyłbym, aby za tym niesamowitym sukcesem Siarki poszło poważniejsze wsparcie władz miasta i lokalnych sponsorów...

Piłkarzom Lecha ciężko było się przestawić mentalnie z Sunderlandu na Siarkę?

Pewnie tak. Nie chcę się mądrzyć, bo gdy ja grałem w Lechu, dostaliśmy w krajowym pucharze od Hutnika w Krakowie. Poczuliśmy się zbyt pewnie, i gospodarze ograli nas 4:1. Takie mecze się zdarzają, wydaje mi się, że w dziejach Lecha stanowczo zbyt często. Zawodnicy rzadziej grający w ekstraklasie i europejskich pucharach powinni przeciw niżej notowanym przeciwnikom wręcz orać na boisku, a tej determinacji zabrakło Kolejorzowi w Tarnobrzegu. To była bardzo przykra daleka wizyta kibiców Lecha i ich szkoda najbardziej.

Dlaczego rozgrywki Pucharu Polski stały się cmentarzyskiem drużyn z ekstraklasy?

Nie do końca da się to wytłumaczyć, bo w 1/16 finału ekstraklasa pozwoliła sobie na zbyt wiele wpadek, wręcz kompromitacji. Wiadomo, puchary rządzą się swoimi prawami, ale samym myśleniem, że mecz wygra się sam nie da się przechodzić do kolejnych rund. Podejście poszczególnych zespołów do spotkań z rywalami z niższych klas pozostawia wiele do życzenia, widocznie też trudno dotrzeć do głów niektórych zawodników. Mnie równie trudno pojąć, jak jednej ze swoich okazji z Polonią Warszawa nie wykorzystał Mariusz Stępiński, napastnik z Kielc. Korona zainwestowała rekordową kasę w dziejach klubu, żeby bić się o europejskie puchary, tymczasem w ekstraklasie zajmuje lokatę w środku tabeli, a z Pucharu Polski wyeliminowały ją Czarne Koszule. Rok temu Kielczanie odpadli z Chojniczanką, to była kompromitacja, teraz też zawiedli, ale warto zauważyć superrobotę trenera polonistów. Piotr Stokowiec wiedział, czego można się spodziewać po Koronie, która jednak ułatwiła mu zadanie słabą grą i niesamowitą nieskutecznością. Samo płacenie wielkich gaż - jak widać - nie wystarczy, aby osiągać wyniki na miarę oczekiwań i ambicji. Kto wie, może w tym sezonie do finału pucharu dojdzie jakiś przedstawiciel niższej klasy, może Siarka, może Polonia? W piłce nożnej, szczególnie polskiej, niczego nie można wykluczać.

PARY 1/8 FINAŁU PUCHARU POLSKI

Polonia Środa Wielkopolska - Sokół Kleczew
Bruk-Bet Termalica Nieciecza - Jagiellonia Białystok
Siarka Tarnobrzeg - Stal Rzeszów
Polonia Warszawa - Raków Częstochowa
Avia Świdnik - Górnik Zabrze
GKS Tychy - Chrobry Głogów
Górnik Łęczna - Wisła Płock
Odra Opole - Ruch Chorzów

eprasa.pl 01d57292a7

ŻUŻEL

Janusz Kołodziej: Czuję się spełniony. Teraz muszę wyprostować psychikę

Zbigniew Czyż

Rozmawiamy z Januszem Kołodziejem, 3-krotnym zdobywcą Drużynowego Pucharu Świata, 4-krotnym indywidualnym mistrzem Polski oraz 8-krotnym drużynowym mistrzem Polski, który właśnie zakończył sportową karierę.



FOT. MARIUSZ KAPAŁA/POLSKA PRESS

– Finał IMP 2005 w Tarnowie, gdy pokonałem Golloba, dał mi dużo wiary w siebie – wspomina Kołodziej

W wieku 42 lat zdecydowałeś się zakończyć sportową karierę, którą – mając 16 lat – zaczynałeś w Unii Tarnów. Pamiętasz moment, w którym postanowiłeś związać życie z żużlem?

Dla mnie największym sukcesem było wtedy to, że mogłem w ogóle zacząć jeździć i spełniać marzenia. Przez dwa lata przygotowywałem rodziców do ogłoszenia tej decyzji, żeby się na nią zgodzili. Miałem dużo wytycznych, żeby nie upadać na tor, żeby sobie nie zrobić krzywdy. Musiałem też obiecać, że będę się dobrze uczył, ale udało mi się przez to wszystko przebrnąć. Już jako dzieciak mogłem się piąć coraz wyżej, mogłem się uczyć od najlepszych, podpatrywać, wdrażać w życie swoje metody.

W 26-letniej karierze osiągnąłeś bardzo dużo . Te najważniejsze sukcesy to osiem tytułów drużynowego mistrza Polski (pięć w klubie z Leszna i trzy z Tarnowa) oraz cztery złota w indywidualnych mistrzostwach kraju. W reprezentacji Polski zdobyłeś też trzy złote krążki w Drużynowym Pucharze Świata, a w 2022 roku zostałeś indywidualnym wicemistrzem Europy. Które z tych dokonań cenisz sobie najbardziej?

Trudno powiedzieć, bo każde ma swoją historię, a ta każda historia była dla mnie ważna i potrzebna. Muszę jednak przyznać, że finał indywidualnych mistrzostw Polski w 2005 roku w Tarnowie, gdy pokonałem Tomasza Golloba, dodał mi dużo wiary w siebie, której wcześniej nie miałem. Cały stadion skandował moje imię i nazwisko – to było coś niesamowitego, czego nigdy nie zapomnę.

Swoją karierę podzieliłeś między dwa kluby – Unię Tarnów, w której startowałeś przez piętnaście lat, i Unię Leszno, której barw broniłeś przez dwanaście sezonów. Oba cenisz jednakowo?

Gdy zdawałem licencję w 2000 roku, moim marzeniem było ścigać się z Tomaszem Gollobem czy Tonym Rickardssonem w jednym klubie. Gdy cztery lata później mogłem z nimi jeździć w Tarnowie, praktycznie nie mogłem w to uwierzyć. To było wręcz niemożliwe, że takie rzeczy mogą się wydarzyć. Unia Tarnów dała mi szansę, a w Unii Leszno mogłem kontynuować karierę na bardzo wysokim poziomie.

Wiem, że masz bardzo duży szacunek do klanu Rempałów, z którymi jeździłeś w Tarnowie przez długie lata.

Zgadza się. Oni są dla mnie taką ikoną speedwaya. To, co do dziś robi Jacek, to, co robił Grzegorz czy Tomasz oraz Marcin, z którym jeździłem często w jednej parze w juniorach, a potem seniorach, to jest coś niesamowitego. Patrzę na nich z ogromnym szacunkiem. Cenię wielu innych żużlowców, ale dla nich mam nadzwyczajny respekt.

Do pełni szczęścia zabrakło chyba tylko sukcesów w cyklu Grand Prix. Jako stały uczestnik startowałeś tylko dwukrotnie, w 2011 i 2019 roku, a największym twoim sukcesem było zwycięstwo w Grand Prix Czech siedem lat temu. Czujesz się spełniony?

Tak. Robiłem co mogłem i jestem teraz tu, gdzie jestem. Oczywiście, marzeniem każdego dobrego żużlowca jest zostanie mistrzem świata, ale mnie się to nie udało, choć starałem się. Po drodze są różne trudności, czasami coś nie wychodzi i nawet nie wiesz, dlaczego. Nigdy na przykład nie wystartowałem w mistrzostwach świata juniorów, bo zawsze wtedy miałem jakąś kontuzję. Podobnie było w Grand Prix, w którym nie osiągnąłem nic nadzwyczajnego. Natomiast w lidze czy w mistrzostwach Polski czułem się jak ryba w wodzie. Tak widocznie miało być.

Niestety, w długiej i bogatej karierze nie omijały cię też kontuzje.

Niestety, i dlatego właśnie zdecydowałem się w tym momencie zakończyć karierę.

Myślisz o tym, że gdy już odpoczniesz, to chciałbyś może spróbować swoich sił jako trener?

Bardziej chciałbym z kimś jednym współpracować na takiej zasadzie, żeby przekazywać swoje uwagi czy rady, jak ustawić motocykl, jak dopasować sprzęt. Ale to na razie dalsza perspektywa, bo potrzebuję teraz trochę czasu dla siebie.

Żużel bardzo się zmienił na przestrzeni tych ponad dwudziestu lat?

Ogromnie! Od sprzętu poczynając, przez transmisje telewizyjne, które są na wysokim poziomie, po nazewnictwo lig. Moglibyśmy na ten temat rozmawiać godzinami.

Tarnów, w którym się wychowałeś, nie ma aktualnie żużlowej drużyny. Klub w 2026 roku nie przystąpił nawet do rozgrywek 2. ligi. Nie ma i nie widać chętnych, którzy mogliby i chcieli odbudować speedway w tym mieście. Pojawiają się spekulacje, że to Janusz Kołodziej mógłby się w to zaangażować?

To akurat ciężkie zadanie, bo przeprowadziłem się dwa lata temu do Leszna. Tutaj mieszkam, tutaj żyję. Nie myślę nad większymi zmianami. Szkółka w Tarnowie radzi sobie beze mnie. Wiadomo, że każdy by chciał i wolał, żebym był w Tarnowie, ale moje miejsce jest teraz w Lesznie i tutaj widzę swoją przyszłość. Na razie chcę się skupić na odpoczynku. Muszę trochę wyprostować psychikę i inne sprawy, bo ten sport jest naprawdę wymagający. Zamierzam odpocząć tak przez rok, a później myślę, że będę komuś pomagał . Sam też będę na motorze jeździł, tyle że już tylko treningowo.

Temat pomocy dla żużla w Tarnowie był w ogóle z tobą poruszany?

Nie. Byłem na początku roku na spotkaniu z włodarzami miasta, ale po to, aby moja szkółka mogła trenować i jeździć w zawodach. Teraz przez zimę będziemy analizować, czy to wszystko dalej ma sens. Bo wiadomo, że w Tarnowie chce też w przyszłym sezonie jeździć Motor Lublin...

KRÓTKO

Zapasy

Wracamy z jednym medalem

Wiktoria Chołuj zdobyła w Astanie srebrny medal zapaśniczych mistrzostw świata w wadze 72 kg. W finale zawodniczka AKS Białogard przegrała z Chinką Li Zelu 3:4. Pierwszą rundę finałowej walki Polka wygrała 2:1. W drugiej Azjatka odrobiła straty i przechyliła szalę zwycięstwa na swoją korzyść. Polka punktowała za zejście do nóg i wypchnięcie rywalki za matę, natomiast rywalka wywalczyła dwa punkty za obejścia oraz obejście punktowane dwoma.
PaW

Judo

Kolejny wielki sukces. Tym razem wart 5000 euro

Judoczka Angelika Szymańska w kategorii 63 kg wygrała zawody Grand Slam w Abu Zabi. W finale pokonała przez waza-ari Węgierkę Annę Krizę. Poprzednio Polka triumfowała w Lozannie i była trzecia w Taszkencie. Za zwycięstwo w Abu Zabi otrzymała premię w wysokości 4000 euro, a trenerka Aneta Szczepańska - 1000.
PaW

Judo

Rośnie nam kolejna mistrzyni

Aleksandra Kowalewska zdobyła w Neapolu złoty medal młodzieżowych mistrzostw Europy w judo w kategorii 70 kg. Polka w finale pokonała przez ippon Belgijkę Valerie Tombou. Bezpośrednio po walce nowa mistrzyni uradowana padła w ramiona trenera Pawła Nastuli, ostatniego polskiego judoki mistrza olimpijskiego (1996).
PaW

Tenis

Mamy nowy numer 1 w światowym rankingu

Mimo półfinałowej porażki w turnieju tenisowym ATPATP 500 - „Erste Bank Open" (pula nagród: 2 797 985 euro), Alexander Zverev został liderem światowego rankingu, wyprzedzając kontuzjowanego Włocha Jannika Sinnera. 29-latek z Hamburga będzie dopiero drugą niemiecką „jedynką" tego zestawienia, po Borisie Beckerze w 1991 roku. Zverev jest również drugim najstarszym liderem - starszy był tylko Australijczyk John Newcombe w 1974 roku.
PaW



FOT. EAST NEWS

eprasa.pl 01d57292a7

AKCJA SPECJALNA TARCZYŃSKI COPA KABANOS

0011605103

Poznaliśmy zwycięzców Tarczyński Copa Kabanos!

Za nami pierwsza edycja Tarczyński Copa Kabanos! W dniach 29-30 października we Wrocławiu odbył się Finał Ogólnopolski nowego turnieju dla najmłodszych, w którym drużyny rywalizowały w formule 3x3 na cztery bramki. Po emocjonujących rozgrywkach poznaliśmy zwycięzców turnieju – zespoły z Bukowna, Ełku, Szczecina i Lublina.



Turniej Tarczyński Copa Kabanos od pierwszych minut gwarantował niesamowite tempo i mnóstwo podbramkowych sytuacji. Po dwóch dniach intensywnych zmagań w nowej, innowacyjnej formule 3x3 na cztery bramki poznaliśmy pierwszych w historii zwycięzców turnieju. W kategorii U-9 dziewcząt triumfowało SP 1 Bukowno, a wśród chłopców najlepsza okazała się drużyna UKS Rona 03 Ełk. W kat. U-11 dziewcząt zwyciężył zespół LFA Szczecin, a w kat. U-11 chłopców puchar uniosła drużyna Bronowice Lublin.

– *Jest to niesamowity sukces – największy w historii naszej szkoły podstawowej. Myślę, że czegoś takiego jeszcze nie było i nie wiadomo, kiedy powtórzy się taki wynik. Jesteśmy po prostu przeszczęśliwi, to dla nas wielka niespodzianka. Dziewczyny są zachwycone, zresztą sam turniej bardzo im się spodobał. Formuła 3x3 dała każdej z nich mnóstwo okazji do gry, kontaktu z piłką, strzelania bramek i celebrowania goli. Cała otoczka była niesamowita – przez rozgrywki, aż po grę na Tarczyński Arenie Wrocław. Wszystko było po prostu super* – mówił Szymon Kluza, trener drużyny SP 1 Bukowno, zwycięzczyń w kat. U-9 dziewcząt.

Od przedszkoli, szkół i klubów do Tarczyński Areny Wrocław

Droga po puchar nie była łatwa. Rywalizacja rozpoczęła się od kwalifikacji wewnętrznych w klubach, szkołach i przedszkolach – następnie piłkarki i piłkarze zmierzyli się w etapie regionalnym, a później w finałach wojewódzkich. Finał Ogólnopolski rozpoczął się na wrocławskich Kłokoczycach, gdzie rozegrano pełną emocji fazę grupową. Młode zawodniczki i zawodnicy musieli wykazać się niezwykłą dynamiką – gra na cztery bramki wspiera kreatywność, odwagę i ciągłą zmianę kierunku akcji.

Najlepsi z najlepszych uzyskali awans do fazy pucharowej, która przeniosła się na spektakularną Tarczyński Arenę. Możliwość zagrania na reprezentacyjnym obiekcie była dla dzieci ogromnym przeżyciem.

– *Sport uczy, że talent to dopiero początek – liczą się również charakter, odwaga, dyscyplina i umiejętność podnoszenia się po niepowodzeniach. Chcę, żeby dziewczynki potrafiły walczyć o swoje cele, wspierały się nawzajem i rozumiały, że sukces drużyny jest ważniejszy niż indywidualne ambicje. Nie ma sensu udawać, że wynik sportowy nie jest ważny, bo każdy zawodnik wychodzi na boisko po to, żeby wygrywać. Jednak równie ważne jest to, w jaki sposób walczymy, jak reagujemy na trudne momenty i czy po ostatnim gwizdku możemy powiedzieć, że dałyśmy z siebie wszystko* – podkreślał Michał Łukawski, trener drużyny SP Kowale (U-11 dziewcząt).

Wyjątkowe nagrody i wspomnienia na całe życie

Zwycięzcy poszczególnych kategorii wywalczyli nie tylko pamiątkowe puchary, ale przede wszystkim nagrodę główną – wyjazd na mecz reprezentacji Polski połączony z wizytą na treningu Biało-Czerwonych oraz udziałem w sesji treningowej prowadzonej przez trenerów PZPN.

Najlepsze drużyny otrzymały vouchery na sprzęt sportowy, natomiast szkoły i kluby reprezentowane przez zwycięzców turnieju zostaną nagrodzone pneumatycznymi boiskami do gry 3x3 na 4 bramki. Uczestnicy mogli liczyć również na indywidualne upominki od sponsora turnieju – marki Tarczyński.





eprasa.pl 01d57292a7

S24 **sportowy24.pl**

sport

PIŁKA NOŻNA

Rozmowa z Michałem Gęburą: Przykre niespodzianki zdarzają się Lechowi za często
str. 21

WYWIAD TYGODNIA



FOT. ADAM JASTRZĘBOWSKI

Janusz Kołodziej: Czuję się spełniony, ale teraz muszę wyprostować psychikę
str. 22

LIGI ZAGRANICZNE

Lewandowski z przełamaniem, Skorupski przypomniał się selekcjonerowi Urbanowi, Szymański na fali
str. 21

Zamiast hitu kibice przy Roosevelta obejrzeli kit. Legia chciała jedynie przetrwać, było 18-4 w strzałach na korzyść Górnika, ale 0-0 w celnych...



FOT. KARINA TROJOK/POLSKA PRESS

W meczu Górnika z Legią gorąco było jedynie na trybunach. W największym klasyku PKO Ekstraklasy temperatura rywalizacji na boisku okazała się letnia *str. 20*

eprasa.pl 01d57292a7